№ 50 Warszawa, dnia 29 Listopada (11 Grudnia) 1880 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

MIRELLA.

POEMAT Z ŻYCIA LUDU.

Fryderyka Mistral.

przez

Sewerynę Duchińską.

(Dokończenie).

Zapadł mrok: w chacie Ramona cisza głucha; ale sen ucieka od powiek nieszczęśliwej Mirelli: przepłakała noc na poddaszu. Zbiega myślą chwile spędzone z Witkiem, wspomina jego słowa. Niedawno on rzekł do niej: „Gdyby cię kiedy ukąsił pies wściekły lub jadowita żmija, gdyby cię dotknęła zła przygoda, zbierz siły, pobież do Saintes, trzy święte Marye przyniosą ci otuchę.

I dziewczyna zrywa się z pościeli, obłoczy spódniczkę czerwoną wyszywaną we wzorki, czarnym stanikiem obciska kształtną kibić, bujne włosów uploty pokrywa białym rąbkiem. Wybiega na próg domu, sunie lekko i cicho jak wietrzyk po nad ziemią.

Noc, miliony gwiazd migoce na niebie. Wpośród nich orzeł przytulony do nóg Jana Ewangelisty połyska dyamentowem okiem; dalej toczy się skrzydlaty wóz, unosi duchy błogosławionych w promienne raju wrota.

Mirella dąży naprzód, wciąż naprzód, mija kłosiste pola. Na odłogu w okopie widzi gromadę białych owiec i białe psy wyciągnięte na wrzosach. Brzask świta pasterze krzątają się co żywo. Psy widzą dziewuchę lecz żaden się nie ruszy; widzą ją pasterze. „Patrzcie duch! szepcą pomiędzy sobą, płynie w powietrzu stopami nie tknie ziemi!

Słonko wybiega z po za zielonych Alpil; skowronki trzepoczą w skrzydełka, ulatują ku niebu. Okolica zmienia się nagle, gdzie rzuć okiem pusto i dziko! Zamiast żyznej trawy i wonnego tymianku, zwir tylko nagi, gdzieniegdzie karłowate drzewko albo kępka pożółkłych wrzosów.

Dziewczę przyśpiesza kroku, a słonko wybiega coraz wyżej, coraz to silniej pali. Kroplisty pot tryska z czoła biednej Mirelli, pierś jej usycha od pragnienia. Dopada wreszcie Rodanu, dziecię rybackie przewozi ją przez rzekę. Ukrzepiona spoczynkiem, wybiega z łódki, idzie naprzód, wciąż naprzód. Głuchy step Kamargi roztacza się przed znużonem jej okiem; tu już ani źdźbła trawki, zwir tylko i piasek przepalony na popiół. Czasami zamigocze coś z dala, widzi przed sobą wielkie miasto i strzeliste baszty, spiętrzone pod obłoki, i dzwonica kościołów, i zielone ogrody po nad rzeką. Serce jej uderza... biedna wyciąga ręce... otóż i kres pielgrzymki, grobowiec świętych niewiast, przyspiesza kroku, a oto widzenie znika! Te baszty, te dzwonice to promień słoneczny odbity w kłębach mgły rozpostartej nad morzem, to ułudna fata morgana.

Spostrzega wreszcie na tle widnokręgu, szafirowy smug; błysnął jej w oku Boży przybytek istny okręt na falach. Smug roztacza się coraz szerzej, wieżyce rosną w górę! Dzwon bije... wątpliwość znika; to grób świętych patronek.

Mirella bieży bez tchu... nagle promień słońca, straszny, nieprzebłagany, uderza ją w czoło... bez zmysłów upada na piasek. Ale wietrzyk powiał od morza, i chłodną orzeźwił ją rosą. Zbudzona z omdlenia, dźwiga z ziemi zbolałą głowę... powstaje na nogi, drżącym krokiem wlecze się do przybytku.

Przed grobem świętych niewiast upada na kolana pochyla czoło. Słabiuchny głos wybiega z jej piersi; trąca łuki kamiennych sklepień:

O trzy święte Maryje!

Wy łez naszych zdrój cichy,
Przemieniacie w lilije
Z bieluchnemi kielichy!

Gnę przed wami kolana,
Niech was płacz mój poruszy,
Ja pięknego młodziana,
Kocham z głębi mej duszy.

Rzeka tęskni w dolinie,
Rwie się żywo do morza,
Słodko lecieć ptaszynie,
W lazurowe przestworza!

I my tęsknim bez siebie!
Do was wołam ze łzami,
Wy u Boga tam w niebie,
Miejcie litość nad nami!

Chcą bym kwiatek zdeptała,
Co mi rozkwitł tak pięknie,
Jażbym rzucić go miała?
Raczej serce mi pęknie!

Do was idę z daleka,
Przez Kamargi step głuchy,
Upragnioną tu czeka,
Zdrój niebieskiej otuchy.

Żary słońca—mój Boże,
Wskroś przebodły mi głowę,
Tkwią mi w mózgu jak noże,
Niby kolce cierniowe.

Ah! nadzieja ożywi!
Niech nią serce napoję,
My weseli, szczęśliwi,
Przyjdziem do was oboje.

Serce ojca zawzięte,

Ja go łzami nie wzruszę;
Chciejcież Matki wy święte,
Zmiękczyć twardą tę duszę.

Wszak się nie gnię ku ziemi
I oliwny pień drzewa,
Lecz pod wichry ostremi,
Owoc na nim dojrzewa.

O! trzy święte Maryje,
Wy łez naszych zdrój cichy,
Przemieniacie w lilije
Z bieluchnemi kielichy!

Co ja widzę? te mury
Jakaż siła rostrąca?
Jaka światłość tam z góry
Od gwiazd bije tysiąca?

Zorza niebo rumieni,
Gwiazdki roją się tłumnie,
Święte w blasku promieni,
Płyną ku mnie, tu ku mnie!

Siły we mnie omdlały,
Ah! litości! ah! łaski!
Skryjcie w rąbek mgły białej,
Waszych koron odblaski!

Wzrok mój znieść ich nie zdoła,
Myśl nie schwyci już siebie,
Jakie dźwięki do koła?
Czym na ziemi, czy w niebie?

I Mirella wyciąga obie ręce, oblicze jej promienieje zachwytem; oczyma duszy ściga cudowne zjawisko. Białe kolumny i łuk świątyni, rozbiegają się jak gromada owiec rankiem po pastewniku. Trzy Marye zstępują z niebios po utkanej gwiazdami drodze. Jedna trzyma w dłoni zieloną palmę, druga przyciska do piersi czarę alabastrową, trzecia przysłoniła rąbkiem młode lica, oczy jej świecą jak dyamenty.

„Szczęścia pragniesz dzieweczko! mówią do niej a wieszli gdzie to szczęście? Widziała żeś je na czole młodej matki, dumnej z dzieciątka swego? Dziś uśmiecha się u kołyski, a jutro zapłacze nad trumienką! Widziałażeś to szczęście na czole oblubienicy, gdy idzie z oblubieńcem do kościoła? Ah! na ich drożynie tak równej, ileż ciernistych kolców i gorzkiego piołunu? W najczystszym zdroju, dopatrzysz na dnie męty, w najzdrowszym owocu, robak zakłada czarne gniazdo. O! gdybyś Mirello, dojrzeć mogła z jasnych wyżyn gdzie my przebywamy, wszystkie nędze, gorycze i obłędy waszego świata, błagałabyś o śmierć z utęsknieniem!

Dzieweczka słucha w niemym zachwycie, a święte opowiadają, jak widziały krzyż na skale Golgoty, i konającego na nim Zbawiciela; jak po cudownym zmartwychwstaniu, ujęto je z bratem Łazarzem, z Trofimem i garstką wiernych uczniów, rzucono w łódź bez żagli i bez wioseł, pchnięto na rozhukane fale, jak ta łódź parta cudowną siłą, niesie wygnańców na Prowanckie wybrzeża, jak na głos Trofima Arlezya kruszy bałwany, pyszne czoło posypuje popiołem; jak święci i święte apostołują po Galii. Sama tylko Marya Magdalena chroni się na pustynię i opłakuje grzechy tak gorąco, iż z łez jej wypływa rzeczułka. Opowiadają święte, jak po latach i trudach wielu, wróciły w miejsce gdzie po raz pierwszy dotknęły stopą ziemi galskiej, jak śmierć zamknęła im powieki, a wierni zbudowali tu kościół i od ośmnastu wieków posypują grób ich coraz to nowym kwiatem.

Święte umilkły. Mirella klęczy i słucha jeszcze. Lica jej różowe, oko nadziemskim płonie żarem. Nagle rozwarły się drzwi, starzy rodzice ukazują się w progu.

Przerażeni ucieczką córki, wysłali w jej ślady żeńców z pola. Tu i owdzie widziano ją przebiegającą głuchym stepem. Matka odgadła cel pobożnej pielgrzymki.

Starzy rodzice tulą w objęciach półmartwą już Mirellę. Tłumy ludu napełniają kościół; przybiega Witek z ojcem. Zapóźno niestety. Ani łzy matki ani żałosne skargi ojca, ani rozpacz ukochanego, nic nie zdoła zatrzymać iskry gasnącej w piersi. Położono dzieweczkę na marmurowej płycie, u grobu świętych niewiast, kapłan Boży namaścił ją olejem, nakarmił ją chlebem żywota. Mirella przychyliła główkę jakby do snu:

Z jagód rumieniec nie ubiegł świeży,
Promyk na gładkiem połyska czole,
Zda się wnet słowo z ustek wybieży,
Czemuż lud sznurem ciągnie w półkole?
Jeden drugiemu zdaje gromnicę,
Ten ów z westchnieniem głowę uniża,
Łza mu z pod powiek spada na lice,
I nad umarłą kreśli znak krzyża.

—Ona umarła! cichy szept rozległ się po kościele. Płacze matka, stary ojciec uderza pierś ze skruchą. Witek zawodzi żałośnie, a po łukach przybytku płynie chórem pieśń do świętych patronek Prowancyi:

Na tym padole łez i goryczy,
Opieka wasza stale nam świeci,
W słonego morza nurt tajemniczy,
Nie próżno rybak zanurza sieci,
A gdy tłum ufny w potęgę cudu,
Z wiarą kołacze do waszych bram,
Patronki święte o matki ludu!
Zgodę i pokój wyproście nam.

Taką jest główna treść ludowej epopei. Poeta zebrał w niej wszystkie legendy i podania przyrosłe do stepów Kamargi i podgórzy alpejskich, splótł w jeden wieniec bujne kwiaty wzrosłe tu w pasmie wieków, przechowane święcie pod strzechą wieśniaków prowansalskich. Łańcuch owych podań bardzo długi. Pierwszem i najcenniejszem jego ogniwem, tradycya o świętych niewiastach z Judei, których grób celem jest pobożnych pielgrzymów, ostatniem ogniwem dalekiej wyprawy Napoleona, olbrzyma naszych czasów, w których synowie Prowancyi tak czynny brali udział. Żaden rys poetyczny, czy to w przechowywanych wspomnieniach, czy w obyczajach i obrzędach ludu, nie uszedł przed okiem poety. Krew z krwi, kość z kości ludu, ożywił je wszystkie twórczem tchnieniem, dobył z nich czyste złoto.

Jasno poeta wypowiada myśl swoją, w pierwszych strofach wieśniaczej epopei.

Panie! nad wiernym czuwasz twym ludem,
Ty wśród ubogich zrodzon pasterzy,
Zapal me serce Twej łaski cudem,
Z piersi natchnienia dobądź zdrój świeży.
Kiedy karmiony słońcem i rosą,
Owoc figowy latem dojrzewa,
Ludzie łakomi rękę podniosą,
Wszystko niebacznie obedrą z drzewa.

Skruszył konary pocisk morderczy,
Lecz ty nad drzewem czuwasz o Boże!
Jedna latorośl na pniu tam sterczy,
Ręka jej ludzka strącić nie może,
Wypuszcza listki pod Twojem okiem,
Coraz się wyżej ku niebu wspina,
I rośnie owoc z ożywczym sokiem,
Którym się głodna karmi ptaszyna.

Ja tę latorośl widzę zieloną,
W cudowny owoc wlepiam źrenicę,
Żar mi przepala pierś upragnioną,
Zaliż go sięgnę? zaliż pochwycę?
Daj mi o Boże ten pokarm zdrowy,
Pozwól mi skarby ocalić nasze,
Na złotych skrzydłach prowanckiej mowy,
Niechże ulecę w górę jak ptasze!

Słaby nasz przekład, nie da czytelnikom pojąć niezrównanych piękności, jakie obejmuje prowansalski poemat. Aby nas nie pomówił ktoś o przesadę, wspieramy się powagą Lamartina. Zobaczmy jak wielki poeta ocenia Mirellę w której widzi arcydzieło ludowej poezyi.

„W utworze tym, mówi Lamartine, uosobił Mistral żywcem prowanckie wybrzeża, przecięte błękitną wstęgą Durancyi i żółtawym Rodanem, który siedmiu ramiony wlecze się do morza przez step wilgotny i krzemienisty. Odżyła tu pusta Kamarga, przepalona skwarem słonecznym. Widzimy jak pląsają po niej tabuny dzikich koni, jak woły na pół zanurzone w trzcinie, pasą się po nad rzeką. Poryk ich złączony ze rżeniem źrebców, przerywa tylko letnią ciszę. Poemat nieodrodnem jest dzieckiem kraju, cała Prowancya przeszła w duszę poety; odżyła w jego pieśni, zdobyła nieśmiertelność, ludowy Homer przemknął po niej.

Opowiada Lamartine jak w ciągu nocy, jednem tchem odczytał poemat. „Znam ja, mówi on wielu poetów starożytnych i nowożytnych, włos mój pobielał nad księgami; wpływ zmarłych i żywych geniuszów był prawdziwą ucztą dla ducha mego, bodźcem dla wyobraźni mojej. Nie jeden z tych geniuszów, wzniosły jakby strop niebios, głęboki jak otchłań ludzkiego serca, ale wyznaję tu otwarcie, żaden z wyjątkiem Homera, nie zachwycił mnie wdziękiem czystszym i naiwniejszym, jak ludowy poeta prowansalski.

„Gdybym był wielkim bogaczem, dodaje w końcu Lamartin, kazałbym oddrukować Mirellę w kilku milionach egzemplarzy, rozesłałbym ją do wszystkich chat, dworków, gdzie jest matka rodziny, starzec i dziecię, zdolni odczytać śliczny poemat, którym wieśniak prowancki udarował Francyą. Hebrajczycy odbierali mannę z góry: ta manna wyrosła dzisiaj na dolinie. Niech lud daje pokarm ludowi!“

Niemieccy filologowie ocenili niemniej Mirellę. Profesorowie ze Strasburga, Tubingi i kilku innych wszechnic, obrali ją za przedmiot uniwersyteckich wykładów. Jeźli dotąd nie wykładano poematu Mistrala z żadnej katedry francuzkiej, składa się na to kilka przyczyn: naprzód niechęć centralistów paryzkich, ku wszelkim objawom prowincyonalnego życia; powtóre zbytnie zamiłowanie w greckim klasycyzmie, a zapoznanie ducha ludowej poezyi, do której dziś zaledwie umysły zwracać się zaczynają; po trzecie, głęboka prawda wyrażona w przysłowiu: *trudno być prorokiem, między swymi!*

STARA PANNA.

przekład

Elizy Rostworowskiej.

Z zasady miałem zawsze wiele szacunku dla starych panien, najpierw dla tego, że są stare, później

iż nie chciałem się poddać śmiesznem uprzedzeniom, które chcą koniecznie, aby wszystkie te istoty bez wyjątku, były zadąsane, zazdrosne i złośliwe; zadąsane, w skutek ciągłego osamotnienia, zazdrosne, szczęścia drugich, złośliwe, dla obu tych przyczyn.

Czyżby to być mogło, aby kobieta, nie miała dostatecznego zasobu dumy, i poczucia osobistej godności, aby chcąc znaleźć towarzysza równego sobie, a nie znalazłszy go, nie potrafiła się pogodzić z losem?

Nie zmuszam nikogo by moje podzielał zdanie, a jednak łatwoby mi przyszło, wystylizować tu, długą i wymowną obronę starych panien. Najpierw, jeśli obecnie są one podstarzałe, jest wszelkie prawdopodobieństwo, iż nie przyszły na świat takiemi. Pan de la Palisse, najsurowszy z logików, nie znalazłby chyba nic do powiedzenia przeciw temu argumentowi; a następnie, jeśli się zestarzały, to najwidoczniej tak im się podobało; lub może też nie znalazły mężów, co jednak nie upoważnia nikogo, brać im to za złe. Lecz zamiast dalszych wywodzeń, opowiem wam historyą Magdaleny Cruchet.

Magdalena była starą panną. Zarówno jak wszystkie jej towarzyszki, nosiła suknie bronzowe lub popielate, kapelusz z zielonego atłasu, naśladującego wybornie karton malowany, o którym niepodobna było mimo dobrej woli powiedzieć, do jakiej należał epoki. Muszczki nad czołem, z włosów czekoladowego koloru, przytwierdzonych na czarnym tiulu, niewidzialnym jedynie dla oczów życzliwych, szal jasno niebieski, urozmaicony wielką ilością żółtych ptaków, wreszcie jej buciki bez obcasów i nieco wyszłe z formy pierwotnej, były powodem do wiecznych żartów dla młodej pani Tiébault, kuzynki naszej starej panny, a żony posiadacza kantoru zmiany weksli.

Strojna i nieco lekkomyślna ta dama, dziwiła się względom męża dla starej Magdaleny. Nie było obiadu, wieczoru, lub jakiej bądź zabawy w pięknym hotelu stojącym przy ulicy Ménars, zamieszkiwanym przez znanego finansistę, aby zużyte falbanki, zdobiące suknie starej panny, nie szpeciły zebrania. W zimie spostrzedz ją można było w salonie pani Tiébault, lato spędzała wraz z nią na wsi.

Młoda kobieta porównywała starą krewnę męża, do stracha na ptaki, raziły ją śmieszne, a co najbardziej, ubogie i zużyte jej suknie, ale na wszelkie uwagi żony, pan Tiébault odpowiadał z zimną krwią iż Magdalena jest nader zacną osobą, wcale nie wymagającą, że nie ma innej sposobności do rozerwania się nieco, jak tylko te, które znajduje w ich domu; a wreszcie dodawał, iż wolą jego było, aby przyjmowano kuzynkę gościnnie i serdecznie. Wskutek czego, pani Tiébault witała zawsze przybywającą z miłym uśmiechem, wyśmiewając się z niej po za jej plecami, i to jeszcze w nieobecności męża.

Przez nader niefortunne kombinacye, stara panna próbowała ukrywać swe ubóstwo, i ona jedna tylko zdawała się go nie spostrzegać. Kazała przefarbowywać po razy kilka zużyte suknie, poczem przekrawała je na świeższą formę. Przerabiała stare kapelusze, usiłując postawić swą garderobę, na równi ze strojami widzianemi u wybrańców losu, których spotykała w domu siostrzeńca, gdyż Magdalena nie była wyzutą z pewnej dumy, znosiła ubóstwo mężnie, nie żaląc się na nie.

Pewnego dnia pan Tiébault chciał wypłacić jej naprzód pensyą, jaką pobierała dożywotnie, złożoną z 1000 fr. rocznego dochodu. Magdalena oparła się temu, mówiąc: iż nie chciała pochłaniać niedojrzałego plonu, i że ten jedynie nazwać się może ubogim, kto nie umie wydatków swych zastosować do przychodu. Łatwo więc zrozumieć, iż zaproszenia czynione jej przez pana Tiébault, nie były czczą tylko formą, lecz zręcznie ukrytą jałmużną.

O wy bogacze! którzy jesteście w możności posadzenia u stołu waszego, 'tej zacnej, wstydzącej się żebrać, nędzy, którzy możecie wspierać ubogich krewnych, podać dobroczynną dłoń zrujnowanemu przyjacielowi, poratować sierotę, lub niemoc starości, czyńcie to tak, aby odbierający wasze dobrodziejstwa, nie uczuli nigdy ciężaru tej jałmużny.

Biedna Magdaleno Cruchet! jakżeś cierpieć musiała srodze, gdy po wspaniałym obiedzie, w dzień nowego roku, wdziewając na nogi swe stare berlacze, gdyż Magdalena dotąd była wierna berlaczom, w przedpokoju państwa Tiébaul, usłyszała rozmowę służących, prowadzoną w te słowa:

— To niegodziwość, mówiła pokojowa, aby ta stara żebraczka, z której się tu wszyscy wyśmiewają, zacząwszy od samej pani, aby ona mówię, zabierała to, co się mnie z prawa należy. Jeśli dziś pani mogła darować jej swój stary futrzany rękawek, wkrótce oddawać jej będzie swe stare suknie, kapelusze, wszystko... Ja tu pozostać dłużej nie mogę, nie opłaci mi się służba. Ach! ta stara mrówka ta stara...

Nikt nigdy nie zyskał na słuchaniu uwag, jakie czynią służący za kulisami. Magdalena była pewnie tego zdania. Zwolna odpięła klamrę przytrzymującą sznur na którym zawieszony był futrzany rękawek, a położywszy go na ławce, rzuciła nań tęskne pożegnalne spojrzenie, i cicho, bez najlżejszego szelestu, wysunęła się na ulicę, nie patrząc nawet za siebie.

Najzatwardzialszy sceptyk idący za biedną kobietą jak przebiegała ulice dzielące wspaniały hotel kuzyna, od ubogiego jej mieszkania, lub patrzący na nią, gdy przybywszy do siebie padła na krzesło stojące obok wygasłego ogniska, byłby się nad nią użalił, widząc głęboki smutek i ból wyryty na pomarszczonem i zżółkłem jej obliczu.

Dla niej wesołość znikła raz na zawsze, niepodobna było się łudzić. Piękna jej krewna, tak dobra tak serdecznie się uśmiechająca jeszcze przed kilku godzinami, gdy ofiarowywała jej futrzany rękawek, jako nowo-roczny podarunek, który miał jej służyć i ogrzewać wychudłe jej ręce przez resztę zimy, piękna ta krewna, pogardzała nią, czyniąc jej jałmużnę z przedmiotu znoszonego, należącego się z prawa służącej. I wszyscy w tym domu, który dotąd uważała za przyjazny sobie, wszyscy, wyśmiewali jej ubóstwo i wiek podeszły.

— Oh! westchnęła podnosząc zwolna głowę, nigdy nie przestąpię już tych progów!

I biedna kobieta rozpłakała się rzewnie. Gdyby ją kto był podsłuchał, gdy czyniła przygotowania do spoczynku, byłby mógł usłyszeć, jak pobladłe jej usta szeptały słowo: „Niewdzięczni“, ale szept ten był tak cichy! Biedna Magdalena nie byłaby nigdy głośniej wypowiedziała tego wyrazu, zacne jej serce nie chciało złem za złe odpłacać.

— Patrzno; mówiła nazajutrz pokojowa, do grooma przechodzącego przez pałacowy przedpokój, stara zapomniała zabrać rękawka, a przecież pani kazała go podszyć świeżą materyą, dla mnie nie byłaby tego uczyniła.

— Trzeba jej to odnieść, odparł groom.

— Bah! ciągnęła dalej pokojowa, trzy razy w tydzień przybywa tu na obiad Zabierze go sama jak przyjdzie.

Ale Magdalena nie powróciła więcej, i miejsce jej u pańskiego stołu zostało niezajęte. Z początku pan Triébault nie zwrócił na to uwagi, lecz wkrótce zdziwiony i zaniepokojony, zapytał małżonki:

— Czy nasza poczciwa przyjaciołka nie jest chora, że jej tu nie widzę?

— Jutro rano poszlę dowiedzieć się o tem, odparła zagadnięta.

— Będzie to zbytecznem, dziś jeszcze pójdę sam do Magdaleny.

— Ależ, przerwała żona, zapominasz iż dziś udajemy się na operę.

— Jedź sama, ja dopiero po pierwszym akcie przybędę.

Po skończonym obiedzie pan Tiébault, wyszedł z domu, i w krótce stanął na 5-tem piętrze, u zamkniętych drzwi mieszkania starej panny. Mimo swych 70-ciu lat wieku, Magdalena była niezmiernie czynną, to też zamieszkałe przez nią izdebki, uderzały czystością i porządkiem niezrównanym. Pierwsza, służyła za przedpokój i kuchnię zarazem, druga była sypialnią, pracownią i jadalnią, słowem, w niej upływało ciche i skromne życie starej panny Mieszkanie to kosztowało ją 120 fr. rocznie, dziś, dzierżawi go pewien przemysłowiec, płacąc za te same dwa pokoiki 600 fr. Umieścił on w nich swą kassę, biuro i kancelaryą. Otóż to jak postęp i cena mieszkań idzie w górę.

Pan Tiébault patrzył z rozrzewnieniem, na skromne izdebki, o niewielkich oknach, zawieszonych białemi firankami, na ubogie drewniane sprzęty, zegar z kukułką i duży komin, na którym stały bukiety z papierowych kwiatów. Całość tego mieszkania nie usposabiała do wesołości, a jednak spojrzawszy na wynędzniałą postać starej panny, której łagodne oblicze wyrażała zacność i prawość uczuć, trudno było nie przyznać, iż w tych ubogich ścianach mieściło się siedlisko cnoty.

— Cóż to znaczy kuzynko! zawołał pan Tiébault, gdy tylko zmęczenie dozwoliło mu mówić, czy się to godzi nie być u nas tak długo? Wszakże to już cztery dni minęły od twych ostatnich odwiedzin.

— Bo to widzisz, odparła zagadnięta, moje biedne nogi codzień są słabsze, wypowiadają mi już posłuszeństwo, a ztąd na ulicę Ménars, jest dość daleko.

— I czemuż to dziś dopiero mówisz mi o tem? Będę odtąd przysyłał po ciebie powóz mojej żony.

— Wreszcie, wasze dobre obiady przeciążają mi żołądek, światło lamp męczy oczy, hałas sprawia ból głowy, a ja potrzebuję ciszy i wypoczynku.

— Zmiany te zaszły za prędko, odparł pan Tiébault, patrząc badawczo na mówiącą; nie możesz przecie kuzynko żyć jak pustelnica, ja tego nie zniosę.

— To też przemyślam nad przeniesieniem się do zakładu, gdzie za opłatą znajdują przytułek starcy zniedołężniali. Tam będę mieć spokój, opiekę i towarzystwo stosowne dla siebie.

Mimo powtórzonych zapytań i usiłowań, właściciel kantoru nic więcej dowiedzieć się nie mógł. Była zmęczoną, pragnęła cichego i spokojnego życia, oto co powtarzała mu uparcie Pan Tiébault ofiarował jej swoje usługi, naglił by przeniosła się na wieś, gdzie miał dom wygodny i obszerny, lecz ofiara jego została odrzuconą, w sposób delikatny, lecz stanowczy. W teatrze zapytywał żony, lecz ona też nie mogła objaśnić, co wpłynęło na postanowienie starej panny. Nadmieniła nawet, iż w dzień nowego roku, Magdalena pożegnała ją i odeszła w nader wesołem usposobieniu, unosząc z sobą ofiarowany jej futrzany rękawek.

— Dziękuję ci serdecznie, rzekł mąż ściskając jej rękę. Magdalena jest zacną kobietą, godną twej przyjaźni i względów.

— Oh! nie dziękuj mi, zawołała śmiejąc się pani Tiébault, nie ma za co, był to bowiem stary rękawek, który oddawna leżał u mnie bez użytku.

— Jakto, przerwał finansista poważnie, dałaś

Magdalenie przedmiot znoszony, którego sama używać nie mogłaś?

— W jej wieku, śmiała się dalej kobieta, stare czy nowe przedmioty, to wszystko j dno.

Pan Tiébault miał odpowiedzieć gdy kortyna się podniosła; przerwana rozmowa zawiązała się dopiero po ukończeniu 2-go aktu.

— Zbłądziłem, mówił dalej mąż, ukrywając przed tobą przyczyny, dla których tak bardzo dbam o moją starą kuzynkę. Uczyniłem to dla tego jedynie że ona sama tego pragnęła; skromność jej cierpiałaby nad rozgłosem, jaki wyjawienie tajemnicy jej życia, pociągnąłby za sobą. Zbłądziłem tak postępując, w przeciwnym bowiem razie, byłabyś ją uszanowała, jak na to zasługuje.

I zasiadłszy w wygodnem krześle, zaczął opowiadać co następuje.

— Wiesz dobrze moja droga żono, iż żartuję z ludzi, którzy gdy zdobędą majątek i znaczenie każą w złote ramki oprawiać sandały w jakich niegdyś, ubodzy, przybyli do Paryża; ale wiesz także, iż nie zapominam że należę do rodziny, która własnej pracy i wytrwałości zawdzięcza teraźniejsze swe stanowisko.

Pani Tiébault skrzywiła się lekko, jakby tym niemym ruchem powiedzieć chciała: „Mój Boże, wiem o tem aż nadto dobrze. I pocóż przypominasz to, co ja chciałabym aby wszyscy zapomnieli.“

— Nie wiesz może, ciągnął dalej pan Tiébault, że dziadek mój był bednarzem w dnie powszednie, w święta zaś stawał się muzykantem.

Pani Tiébault odwróciła głowę, aby sprawdzić, czy drzwi loży były szczelnie zamknięte.

— Przez sześć dni z rzędu wyrabiał klepki i zbijał je razem, siódmego dnia zaś zasiadłszy na jednej z gotowych beczek, patrzył jak wesoła młodzież wiejska, tańczyła przy dźwięku jego skrzypiec. Mimo swego dwojakiego rzemiosła nie zebrał nawet tyle grosza, aby zakupić choć nędzną lepiankę, lub kawałek pola. Bo też ojciec Tiébault, pił więcej niż wszyscy bednarze swojego kantonu, a co najmniej tyle, co wszyscy muzykańci departamentu; z resztek, to jest z tego co ojciec nie wyniósł do karczmy, żona jego Joanna i syn Szczepan żyli dość przyzwoicie. Dnia jednego zbierając drzewo w lesie, Joanna zrobiła sobie głęboką ranę w nodze. Pieniędzy w domu nie było, winogrona w tym roku przepadły, beczek nie rozkupiono, młodzież nie miała ochoty tańczyć, zima była ciężka, i Joanna ze zmartwienia i niewygody umarła. Ojciec Tiébault z rozpaczy, pił tak wiele że wkrótce poszedł za nią; został więc tylko sierota, mały Szczepanek, liczący wówczas trzy lata. W domu nie było chleba, nie było grosza, gdy Magdalena nadeszła by zabrać z sobą chłopca, który płacząc głośno, wołał ojca i matki. Magdalena była to dziewczyna silna i młoda, pracowała w fabryce koronek zarabiając na utrzymanie własne. Mimo swego ubóstwa, nie zawahała się nawet i przytuliła biednego sierotę. Sprzedawszy resztę sprzętów pozostałych po zmarłym, opłaciła długi jakie pozaciągał za życia, sprawiła malcowi żałobne ubranie a na cmentarzu kazała wystawić duży czarny krzyż, aby podrosłszy, Szczepanek wiedział w którem miejscu znajdowały się mogiły rodziców. Uczyniwszy to wzięła za rękę chłopca i razem z nim powróciła do swego mieszkania.

— Jak to ładnie z jej strony, przerwała pani Tiébault ze wzruszeniem.

— Oh! to dopiero początek, posłuchaj co dalej zaszło. Magdalena której oblicze, podobne dziś do pożółkłego pargaminu, wówczas miała najświeższy buziak z całego kantonu. W oczach jej jaśniało życie i zdrowie godne lat ośmnastu. W niedzielę biegła żwawo na plac, gdzie młodzież wiejska, dając wypoczynek spracowanym rękom, męczyła nogi w ochoczym tańcu. Tam to Magdalena poznała pewnego chłopca, który był równie piękny, jak ona była piękną, równie młody, jak ona była młodą i równie jak ona ubogi. Każdej niedzieli opuszczając się wspólnie, obiecywali powrócić za tydzień. Oh! ty nie wiesz droga moja żono czem jest zabawa na wsi. Latem, na równem podwórzu przed karczmą, przy dźwiękach skrzypców i bębna, chłopcy i dziewczęta wirują póki sił im starczy. Dokoła za stołem zasiedli starsi, popijając co Bóg dał, prawią o minionych dniach młodości. Tam każdy przybywa dla przyjemności własnej, chłopcy przypatrują się dziewczętom, a jeśli spodobają się sobie, to rzecz cała kończy się weselem. Narzeczony Magdaleny niechętnym okiem spoglądał na biednego sierotę. Na wiosnę miał się odbyć ich ślub, oboje byli biedni, nie widział więc potrzeby przybierania na siebie obowiązku wychowywania cudzego dziecka. Magdalena przeciwnie, nie chciała pozwolić, by syn Joanny tułał się bez opieki. Młodzieniec oburzał się mówiąc iż to go wcale nie obchodzi, sprzeczka przybierała coraz to poważniejsze rozmiary, aż dnia jednego narzeczony dał do zrozumienia Magdalenie aby wybierała między nim, a biednym sierotą.

— Jakież on miał złe serce, przerwała pani Tiébault.

— Ha! odparł finansista, był to człowiek praktyczny.

— Cóż uczyniła Magdalena?

— Ona nie była praktyczną. Ze łzą w oku, z łkaniem w piersi zatrzymała przy sobie sierotę.

— Biedna!

— Tak, biedna. Gdy chłopiec doszedł do 7-go roku życia, postanowiła oddać go do szkół. Jej wieśniaczy rozsądek wzniecił w niej przekonanie, iż w naszym wieku nauka i praca mogą jedynie podnieść człowieka na wyższe stanowisko. Wiejska szkoła zdawała się jej być nie wystarczającą dla dziecięcia, któremu poświęciła własne szczęście i przyszłość całą. Ale jak zwykle, nie miała pieniędzy do wykonania swych planów. Magdalena zaczęła rozmyślać. Rezultatem tych rozmyślań było, iż pewnego poranku, spakowawszy swoje i dziecka rzeczy, wzięła tłomok na barki, na nim usadowiła małego Szczepanka i wyruszyła tak do Paryża. Doszedłszy do rogatki miasta zapytała jakiegoś przechodnia o szkołę. Wskazano jej wielki dom nieopodal stojący. Wszedłszy doń ofiarowała przełożonemu zakładu swe usługi, z warunkiem by jej dziecię kształcić się tu mogło wraz z innemi.

— Ah! cóż to za kobieta pełna poświęcenia! zawołała pani Tiébault ocierając łzę nieznacznie.

— A jednak przełożony zakładu wręcz jej odmówił. Widocznie zasługi biednej służącej uważał za niedostateczne dla pokrycia kosztów wychowania jej przybranego dziecięcia. Gdy drzwi zakładu zamknęły się za nią, Magdalena nie straciła odwagi i Bóg wynagrodził jej wytrwałość. Stary właściciel pensyonatu na przedmieściu ś-go Jakóba, wysłuchawszy jej opowiadania, wzruszony poświęceniem kobiety, która nie wahała się przebyć 150 mil pieszo, na to jedynie by ciężką pracą, okupić wiedzę dla biednego sieroty, przyjął ją i jej dziecię.

Tym to sposobem, syn bednarza, doszedł do zajmowanego dziś przez nas stanowiska.

— Ależ Magdalena?...

— Płaczesz kochanko, przerwał właściciel kantoru. Otrzyj łzy twoje w teatrze nie są one na swojem miejscu, powróciwszy do domu opowiem ci dalszy ciąg tej historyi.

Wszedłszy do przedpokoju poprzedzającego wspaniały apartament, pan Tiébault spostrzegł leżący tam rękawek starej panny.

— Co to jest? zapytał zwracając się do żony.

— To własność Magdaleny, odrzekła.

— Zostawiła go tu w dzień nowego roku, dodał groom poważnym tonem, chciałem go odnieść, ale panna Róża nie pozwoliła na to.

— Panna Róża jest niemądra, przerwała żywo pani Tiébault. Jutro jeśli pozwolisz pójdziemy razem do kuzynki, dodała zwracając się do męża, jest w tem wszystkiem jakaś tajemnica, którą trzeba wyjaśnić. Przechodząc wstąpimy do składu futer i kupimy dla Magdaleny salopę z pięknych lisów.

— Dobrze mój aniele, rzekł pan Tiébault całując żonę, rad jestem iż nie znając dalszego ciągu historyi, i nie wiedząc że ojciec mój był niewdzięcznym względem swej nieocenionej opiekunki, rozumiesz, iż jej to zawdzięczamy nasze szczęście i najlepszą cząstkę tego czem jesteśmy dzisiaj.

— Tak, dodał pan Tiébault, ojciec mój był niewdzięcznym, zapomniał o Magdalenie. Doszedłszy do wieku, gdy już sam mógł zarabiać na własne utrzymanie, wstydził się swej przybranej matki. Zamiast z podniesionem czołem przyznawać się do niskiego pochodzenia, mniemał, iż pokrewieństwo z Magdaleną, stanie się dla niego zaporą, do zdobycia wyższego stanowiska między ludźmi. Z początku tajemnie odwiedzał jeszcze swą opiekunkę, która jako służąca pozostawała ciągle w Paryżu, dla przypatrzenia się choć z daleka na tryumfy swego ukochanego dziecka, wreszcie zapomniał o istnieniu zacisznego przedmieścia ś-go Jakóba. Jak zwykle zacna kobieta zgodziła się z losem, tłomacząc sama przed sobą niewdzięczność swego dziecięcia. On ma co innego na głowie, mówiła sobie, musi myśléć o przyszłości. Gdy się wzbogaci, gdy pozyska stanowisko, przypomni sobie o mnie. Będę wówczas starą, niedołężną, a mój ukochany Szczepanek zwróci w trójnasób co dla niego uczyniłam. Ale Magdalena się zestarzała, a ojciec mój niepomyślał o niej. Pochwycony prądem burzliwego życia, owładnięty nawałem interesów, usprawiedliwiał zapomnienie brakiem czasu, a biedna kobieta, gdyby nie to iż przypomniała sobie dawny swój fah haftarki, byłaby umarła z głodu. Bo stare służące, jak i stare konie, rzadko znajdują łaskawy chléb u tych którym służyli wiernie, a spadkobierca dawnego właściciela zakładu naukowego na przedmieściu ś-go Jakóba, nie znając Magdaleny nie widział potrzeby zatrzymywać jej dalej w swym domu.

Pan Tiébault zamilkł. Smutne te wspomnienia ciężyły mu, opowiadanie tej upokarzającej historyi wiele go kosztowało.

— Po śmierci ojca znalazłem między jego papierami listy Magdaleny, w których pełnemi czułości słowy wymawiała mu jego niewdzięczność. Posłałem na miejsce jej urodzenia, szukałem, szperałem wszędzie, aż wreszcie udało mi się odnaleźć Magdalenę. Bogu dzięki iż mogłem poniekąd wynagrodzić niesprawiedliwość jej wyrządzoną. Nie byłem wówczas majętnym, spadek po ojcu moim był zakwestyonowany, ja pracowałem w handlu jako subiekt, uczyniłem co było w mojej mocy, zapewniając Magdalenie 1000 fr. rocznego dochodu; więcej wtedy dać nie byłem w stanie. Chcąc by uwierzyła choć w spóźnioną wdzięczność swego wychowańca, przekonałem ją za pomocą pewnego rejenta, z którym wiązała mnie przyjaźń, iż ojciec mój zapewnił jej testamentem ten mały dochód. Biedna kobieta uwierzyła i po dziś dzień nie dowiedziała się prawdy; nie wie też iż ja posiadam tajemnicę jej poświęceń. Gdy mówi o ojcu moim, nazywa go zawsze: swym małym Szczepankiem, i nie omieszka dodać, iż jemu to zawdzięcza spokój ostatnich dni

życia. O przeszłości nie wspomina wcale a gdy po razy kilka próbowałem ofiarować jej pomoc pieniężną, lub powiększyć dożywotnią pensyą, zawsze odrzucała ofiarę.

— To ja sprobuję zmusić ją do przyjęcia, rzekła pani Tiébault, my kobiety łatwiej porozumieć się potrafimy.

— Bądź ostrożną i uszanuj tajemnicę tej starej przyjaciółki.

— Zobaczysz iż mi się to uda, odparła żona, ja także mam na sumieniu iż nie umiałam ocenić Magdaleny podług jej rzeczywistej wartości.

Gdy nazajutrz państwo Tiébault, stanęli u progów cichego mieszkania starej panny, Magdalena żyć przestała.

Śmierć stanęła u jej wezgłowia w chwili, gdy odmawiała pacierze, a ostatnie jej wyrazy były słowami modlitwy. Umarła unosząc z sobą przekonanie, że jej ukochany Szczepanek umiał być wdzięcznym i że młody jej krewny, i jego żona, nie znali historyi jej życia.

Pan Tiébault chciał by pogrzeb odbył się wspaniale. Strojny karawan zawiózł na miejsce wiecznego spoczynku tę męczennicę, tę świętą!

Corocznie w dzień zaduszny pan Tiébault, udaje się do kościoła ś-tej Magdaleny, po nabożeństwie zaś, idzie na cmentarz Montmartre i tam na grobie składa wieniec z najpiękniejszych kwiatów.

Są jeszcze ludzie którzy potrafią być wdzięczni.

Wino grzechu przyczyną

stara gawęda

przez

Ludwika Niemojowskiego.

—Ej panie bracie, despekt nam wielki
Zrządzasz, nie pijąc we spół z drużyną:
No, choćby lampkę!...
—Ani kropelki,
Ni kszty—mnie nie w smak to wasze wino.
—Za kołnierz wlejem!...
—Lejcie, nadstawię,
Lecz pić nie będę.
—A więc mój mości,
Pozwól powiedzieć sobie łaskawie,
Iż my podobnych nie cenim gości!
Cóż to za fumy? Kiedyś trafunkiem
Wlazł w nasze grono, toć bez uchyby
Zacnej kompanii, nie możesz trunkiem
Gardzić jak baba stroniąc od biby.
Ot! szklanka, gąsior, kielich i dzbanek:
Jeśliś zdrów ciałem, grzmotnij i kwita,
Jeżeliś chyrlak—to pij rumianek
A finf nam nie strój, tak radzi Kmita.
I szlachcic gniewu zrumienion ponsem,
Rzecz zagaiwszy w buńczucznym tonie,
Spojrzy na pana Jacka z przekąsem
Rękojeść szabli imając w dłonie.

Nowoprzybyły snadź cichy człowiek,
Nie z tych co burdy chcą szukać gwałtem,
Otrze cisnącą się łzę do powiek
I takim myśl swą wyrazi kształtem:
„Jeżeli stroniąc od szklanki wina,
Patrzę się na was dziś okiem sowiem,
Jestci ku temu ważna przyczyna,
A jaką ona zasię opowiem:
Przed parą laty, było to rankiem,
Kilku mych druhów zasiadło społem,
Wśród biesiadniczej izby za stołem,
I nuż się bawić kuflem a dzbankiem;
Ja czmych do kąta.—Cóż to nie łaska
Wejść do kompanii statecznych osób?
Ten flachą brząka, ten słówkiem głaska,
I każdy mami mnie na swój sposób...
—Nie, pić nie będę—toć dla mnie zguba:
Trzeźwy, ja burdy nie pocznę z nikim,
Zaledwiem jednak zapruszył czuba,
Staję się w szale zwierzęciem dzikiem.
Znacie mój impet, sfolgujcie proszę;
Bóg widzi patrząc na grzeszną duszę,
Że mi nie wstrętne one rozkosze
Gardlanych uciech, stronię—bo muszę.
Oni wciąż skomlą—no, myślę wtedy,
Co? jeden mały, malusi... tyli!
I basta! Czyliż od krotochfili
Ma zrazu siła wyrosnąć biedy?

Najcięższej zacząć; kiedy wśród gardła
Pierwszy haust wzbudzi oskomę w krtani,
A człek się zdradnym napitkiem zmani,
Wnet i rachuba wszelka zamarła:
Drugi kieliszek pójdzie już gładziej,
Trzeci, to trinum perfektum nasze,
Czwartego wypić także nie wadzi,
Za piątym sam już sięgam po flaszę,
Natura słaba, a gardziel duży,
Trąbię więc wespół z kompanią zacną,
Jeszcze pół licha gdy rozum służy,
Lecz go na wodzy dzierżyć nie łacno,
Tak się i ze mną stało niebawem.
Pan Jan co zwykle przy winie miękkie,
Rzekł ocierając oczy rękawem:
„Daj buzi bracie bo pijesz pięknie!"
Nadstawiam pyska, lecz on w ferworze,
Jak machnie łapą pod samym nosem,
Tak.. no rozumiesz? O nie daj Boże
Spotkać się kiedy z podobnym losem!
Wnet mną gorączki owładnie kryzys:
—Horrendum!... wrzasnę mnąc wąsa w pięści,
Tyś mi sromotnie oszpecił fizys:
Jak psu w łeb strzelę, schlastam na części!...
Rozżarty, wściekły, z krwią zaszłem okiem,
Pianą na ustach, dzikiem obliczem,
Wpadnę na niego jednym poskokiem,
I... już nie pomnę więcej o niczem.

Ojcze niebieski, święta Maryjo!
Ten brat, ten krewniak, ten druch od serca,
Leżał tam martwy, z rozciętą szyją,
A jam go zabił—ja zbój, morderca!
Kiedym się spotkał z tym wzrokiem trupim,
Co na mnie patrzył tak czule, łzawo,
Gdym uczuł w dłoni posokę krwawą,
Parsknąłem śmiechem okropnym, głupim:
Byłem szalony. Jakiem żył potem,
Nie wiem, bo wątek myśli ostatni,
Ów blask promieniem świecący złotem,
Zagasł oblany strugą krwi bratniej.

Raz, w dniu na zawsze dla mnie pamiętnym,
Jam poczuł bytu ożywcze cieplo,
A pod powłoką ducha zakrzepłą,
Istnienie nowem zabiło tętnem,
On też ocalał. Zmówiłem pacierz,
Siadłem przy łożu drogiego brata,
I jako strzeże dzieciątka macierz,
Tak ja go strzegłem.
Minęły lata,
Wydobrzał, powstał, z twarzą mizerną
Ciałem wychudłem, szramą na czole,
Lecz widząc boleść moją niezmierną,
Przebaczył zbójcy niecną swawolę.
U stóp ołtarza upadłem plackiem
Wołając: „Panie, klnę na mą duszę,
Że pokąd zwą mnie Kuleszą Jackiem,
Baczny na siebie łba nie zapruszę!...
Otóż i wszystko, a teraz szczerze,
Raczcie na moje odrzec pytanie:
Mamżeli pamięć choć chętka bierze,
Niepomny votum zanurzyć w dzbanie,
I pić jak drudzy?..
Nie rzekli słowa,
Każdy odsunął kielich ze wstrętem,
Każdemu na dłoń opadła głowa,
Brzemienna grozy promieniem świętym;
A zaś pan Kmita rzekł: „oj to wino,
Tak wdzięczne smakiem, wonią tak lube,
Kiedy człek straci w haustach rachubę,
Staje się pierwszą grzechu przyczyną."

KORESPONDENCYA.

Lwów w listopadzie.

Śmierć *Stanisława Dobrzańskiego.*—Smutny miesiąc i epidemie.—Stan ekonomiczny Galicyi.—Länderbank.—Nasze projekta.—*Związek stowarzyszeń zaliczkowych.*—Kuratorya dla *przemysłu domowego.*—P. Hr. Stanisławowa Potocka i jej propozycye.—*Książka zbiorowa* na dochód Zagrzebia.

Od smutnej zacznę dzisiaj wiadomości: zaledwie wam doniosłem o powodzeniu *Złotego Cielca*, utworu, który zapowiadał rozwój talentu autora, gdy ten porzucał ziemię, którą tak kochał i sztukę, której życie poświęcił. *Stanisław Dobrzański* syn zasłużonego w dziennikarstwie Jana Dobrzańskiego urodził się w 1848 r.—dzieciństwo przebył wraz z rodzicami w twierdzy. Szkół nie ukończył z powodu prześladowań rozlicznego rodzaju, pomimo to ukształceniem dorównał wszystkim pracującym na literackiej niwie, Własną pracą poznał 7 języków obcych i w 17 roku życia wystąpił jako redaktor głośnego w swoim czasie *Sowizdrzała* pisemka humorystyczno-satyrycznego,, które cieszyło się niepospolitem powodzeniem. Wszedł potem do *Gazety Narodowej* ale co innego nęciło młodzieńca — uszedł raz z domu rodzicielskiego i wstąpił do prowincyonalnej trupy aktorów. W 21 roku życia zostaje dyrektorem teatru poznańskiego, a od lat kilku lwowskiego. Pomijamy jego prace jako kierownika sceny we Lwowie, chociaż tu wszechstarannością swego ukształcenia, wytrawnym smakiem i energią wiele dokazał. Chcę raczej wspomnieć, że w piśmiennictwie dramatycznem byłby może zająć jedno z pierwszych miejsc, gdyby śmierć nie przecięła wątku żywota. Zaczął od fars jak *Onufry*, *Tajemnicza osoba* i innych, w których humor nieco rubaszny, ale szczery, dowcip płynący bez wysilenia, znajomość sceny, umiejętność w budowie obiecywały wiele. W *Złotym Cielcu* podniósł się do komedyi i nie wątpimy, że byłby stanął wysoko. Niestety, wada sercowa odaliła go przed dwoma laty od sceny i ostatecznie zabiła. Literatura straciła w nim utalentowanego pisarza, a scena jednego z najznakomitszych artystów do ról charakterystyczno-komicznych, a Lwów w szczególności zdolnego dyrektora teatru. Umarł mając lat ledwie 30.

W ogóle miesiąc ubiegły przebyliśmy w bezustannej trwodze: dyfterja, szkarlatyna, odra, tyfus rozpanoszyły się w naszej stolicy leżącej na gruncie

bagnistym w dość ciasnej kotlinie. Oprócz wszechnicy i szkoły politechnicznej zamknięto wszystkie szkoły publiczne i zakłady prywatne, każdy drżał o najbliższych i codzień wyglądał mrozu i śniegu. Jakby na przekór dnie ciepłe niezwykle, nie przestawały nas dręczyć wesołem słońcem, które w tym jedynym wypadku może, zasmucało wszystkich. Energiczne środki ostrożności, odwanianie karbolem i tp. przyczyniły się do osłabienia epidemii i od tygodnia wróciliśmy do poprzedniego stanu i ochłonęliśmy nieco.

W ogóle nic nas nie usposabia do wesołości i myśl cała zwraca się raczej do ciężkiej walki z rzeczywistością, niż ku przyjemnościom. Galicya, razem wzięta, stoi na brzegu przepaści: wygórowane podatki, doprowadzone do ostatecznej wysokości, liche gospodarstwo państwowe kierowane ręką chciwą aż do wstrętu centralistów niemieckich, klęski i nieurodzaje, brak kapitałów, kredytu, dróg a co najważniejsza dostatecznej oświaty na dole, w środku i u góry, sprawia, że ostatkami gonimy. Nie dziwcie się więc, szanowne Czytelniczki, że i wasz pokorny sprawozdawca nie może malować wdzięcznych obrazków, któreby uśmiech nęciły na wasze koralowe usteczka, brać na kronikarską paletę słonecznych promieni i jasnych barw, lub ubiegać się za scenami i rysami, które spędzają z czoła chmurkę kłopotów codziennego żywota. U nas istnie jesienny czas, jesienne życie: mglisto, chłodno, chmurno. Na skrzydłach naszej fantazyi osiada troska o jutro, i z pogodnych wyżyn ściąga ją do ziemi, a i głowa do ziemi się pochyla przygnieciona ciężarem niepokoju. Nie możemy przed sobą innego postawić zadania, innym zaprzątać się celem, ku innym dążyć przedmiotom, mamy się *ratować* i ten wyraz zawiera całą grozę naszego położenia. Ratować mamy wieśniaka tracącego ojcowiznę, właściciela *większej posiadłości* (taka jest nazwa posiadaczy dóbr) prawie już tonącego, rzemieślnika w nędzy, kupca sztuką się utrzymującego, wszystkich jęczących w niewoli u lichwiarza czy tam on w postaci jest arendarza, czy nosi zabłocony chałat, czy szumną nazwę C. k. uprzywilejowanego Banku. Ilość ziemi która już przeszła w ręce lichwiarzy przejmuje zgrozą—a brniemy dalej... To też sejm, Wydział krajowy, dziennikarstwo, wszyscy ludzie dobrej woli, przemyśliwają jedynie o wydźwignięciu kraju z tego stanu prawie rozpaczliwego. Proszę mi więc wybaczyć, jeźli w każdej mojej gawędce będę musiał dotknąć spraw ekonomicznych, bo będąc niejako echem życia w Galicyi, winienem dawać przedewszystkiem znać, co nasz ogół zaprząta, i ku czemu większość umysłów się zwraca

Łatwo pojąć, czemu założenie *Banku dla krajów koronnych* (Länderbank) w Wiedniu dotąd zajmuje Galicyę. Mianowanie dyrektorem tej finansowej instytucyi Marszałka krajowego Ludwika hr. Wodzickiego, stało się przedmiotem wszystkich rozmów. Liczą wszyscy na to, że znając potrzeby kraju, Dyrektor nowe wszelkie będzie wysilenia czynił, aby mu przyjść w pomoc.

Najważniejsze zaś sprawy dla nas są dzisiaj te mianowicie: Uregulowanie rzek i zabezpieczenie kraju od wylewów, nietylko zasiewów, ale wydzierających uprawie znaczne przestrzenie; budowa drogi żelaznej *podkarpackiej* i pobocznych linii o wązkim torze; podniesienie chowu bydła; ulepszenia w gospodarstwach rolnych; podniesienie przemysłu domowego i fabrycznego; ułatwienie zbytu produktów rolniczych i fabrycznych; ożywienie handlu i nakoniec dostarczenie taniego kredytu, co wszystkim powyżej wymienionym kwestyom pozwoli wejść w życie. Jeżeli uda nam się to wszystko przeprowadzić, będziemy mogli powiedzieć, że mamy lepszą przyszłość przed sobą. W miarę więc jak te sprawy będą zbliżać się do urzeczywistnienia, będę o nich donosić, jako o rzeczach od których jutro nasze zależy.

Tymczasem od tych ogólno krajowych interesów, naszą publiczność absorbujących, należy zwrócić się do drobniejszych bieżących faktów. Jak pracujemy tutaj, jak się bronimy, najlepiej powiedzą cyfry.

W końcu zeszłego i początku tego miesiąca odbyło się zebranie *Związku spółek zarobkowych i spożywczych*. Do tego związku należy 135 stowarzyszeń a 44,000 członków, Ogólna cyfra obrotu w 1879 r. doszła do 58,000.000!! Co to może spółka! *Związek* pracuje ciągle nad rozszerzeniem ilości towarzystw zaliczkowych, które w trzech czwartych częściach przyczynia się do ocalenia ludności od ruiny. W tym kierunku dużo już zrobiono, ale więcej jeszcze do zrobienia pozostaje.

Z drugiej strony żywo zajmujemy się *przemysłem domowym* naszych włościan. Sejm utworzył przy Wydziale krajowym *kuratoryą* dla przemysłu domowego. Zajmuje się ona gorąco badaniem, coby należało stworzyć, co poprzeć i rozwinąć, a co poprawić. Założono już szkoły koszykarstwa, garncarstwa, snycerstwa. Oprócz tego inicyatywie prywatnej wiele zawdzięczać potrzeba.

Ze smutkiem musimy powiedzieć, że panie nasze tak w miastach jak na wsi zupełnie są bezczynne, zajęte sobą mały udział biorą w robotach dobro publiczne mających na celu. Do rzadkich wyjątków należy hrabina Stanisławowa Potocka: siostra ś. p. Jana hrabiego Działyńskiego. Przed kilkoma laty założyła własnym kosztem w majątku swoim w Rymanowie szkołę snycerstwa dla górali.

Wyroby tych młodych chłopców, nie ustępujące w niczem podobnym przedmiotom pochodzącym z Alp, rozchodzą się po całej Galicyi. Niestrudzona fundatorka nie poprzestaje na czuwaniu nad kierownictwem i rozwojem swojej szkoły. Wniosła ona do Wydziału krajowego dwie prośby: w jednej proponuje aby otworzyć bazar ułatwiający zbyt wyrobów biednych górali i usuwający pośredników, którzy zawsze największe zyski ciągną; w drugiej prosi o sprowadzenie ze Szwecyi pewnego gatunku żyta, które dojrzewa znacznie wcześniej jak nasze a tym sposobem odpowiedniejsze jak do uprawy w naszych górach, gdzie tylko owies sieją, a żyto rzadko dojrzeć może. Zbytecznemby było rozszerzać się nad doniosłością obu tych projektów. Dodam tylko, że żyto Szwedzkie wypróbowała hrabina Potocka w Rymanowie i otrzymała jak najlepsze wyniki. Gdyby tak wszystkie panie zajmowały się z równie szlachetną pieczołowitością biednym, ciemnym, opuszczonym ludem naszym, ileżby dobrodziejstw spłynęło na kraj, ileż uchylono by nieszczęść, ile oddalonoby niebezpieczeństw, a nawet epidemii, tyfusów głodowych i t. p.

Sądzimy, że głos nasz znajdzie echo w sercach naszych Czytelniczek, będących w możności podniesienia dobrobytu i moralności w najniższych warstwach.

List się przedłuża, na inny więc raz odkładam wieści o naszych nielicznych umysłowych rozrywkach: zanotuję tylko że lwowskie *Koło literackie* postanowiło wydać książkę zbiorową na dochód Zagrzebia. Gdy zaś i krakowskie kasyno literacko artystyczne zamierzało na tenże cel wydać album porozumiewają się teraz obie te instytucye, żeby wspólnemi siłami jedno tylko dzieło zebrać i ułożyć aby jak największą korzyść przysporzyć nieszczęśliwym ofiarom trzęsienia ziemi. Będzie to pierwszy krok zbliżenia się z braćmi Chrobatami, ale także i pierwszy krok zbliżenia między Lwowianami i braćmi Krakowiakami, którzy dali w siebie wmówić, że się nienawidzą.

Przegląd literacki.

Biblioteka Warszawska i *Ateneum* II-gi kwartał 1880 r. (Kwiecień, Maj i Czerwiec).

(Dalszy ciąg).

Artykuł „Z literatury spółczesnej we Włoszech" p. Edw. Grabowskiego zawiera nieco zajmujących szczegółów o najnowszych poetach włoskich: Zanelli, Carduccim, Cossie i innych. Pierwsza część tej pracy składa się z wielu bardzo wiadomości, nieco bezładnie zestawionych; w dalszym ciągu naszkicował autor postacie kilku przedstawicieli rozmaitych rodzajów poezyi i różnych kierunków i scharakteryzował ich dzieła. Tu i owdzie są wyjątki, streszczenia i przekłady z których publiczność nasza, może po raz pierwszy, pozna tak odmiennych kierunkiem poetów jak wielbiciel starożytnych lecz poeta katolicki ksiądz Zanella, materyalista Carducci, pozytywista Guenimi, wreszcie poganin Cossa, wyznawca Jowisza Kapitolińskiego i dawnych bogów greckiego Olimpu. — Ciekawą, doprawdy jest rzeczą czytać wyjątki, w których poeci z końca wieku XIX złorzeczą chrześciaństwu w imię dawnych bóstw Romy, które patrzały na tryumfy Scypionów i Cezarów. Dziwny ten objaw możliwym jest tylko na ziemi włoskiej, której synowie gorącego ducha, czując się bezpośrednimi spadkobiercami i dziećmi światowładnych Rzymian, uciekają od smutnej rzeczywistości w ukochany przez siebie świat wspomnień dziejowych. Wielka bo też zaprawdę różnica między potęgą dawnych Rzymian, a stanem dzisiejszego królestwa włoskiego, ciemnego i ubogiego oddanego na pastwę walki stronnictw, przekupstwa i rozbojów. Daremną jednak jest rzeczą winić za to chrześciaństwo: wprawdzie religia „Galilejczyka i Boga semickiego," jak mówią owi poganie spółcześni, jest rzeczywiście poważną i surową, gdy pogaństwo starożytne było jedynie zabawą i rozkoszą; ale nowa religia uczy miłości bliźniego, pokory, przebaczenia i pokoju — rzeczy nieznanych religii Jowisza. W dziejach nic się nie powtarza i, pomimo wołania owych poetów, Jowisz nie zmartwychwstanie; wystarczyłoby aż nadto dla ludzkości, gdyby wprowadziła zupełnie w życie naukę „Galilejczyka" i wyciągnęła z niej wszystkie możliwe owoce błogosławieństwa i szczęścia.

Wzmiankowani Zanella, Carducci i Guerrini są lirykami, Cossa jest zdolnym dramaturgiem. Autor przy końcu mówi jeszcze o Ferrarim—jednym z najsłynniejszych komedyopisarzy obecnych. Od wzmiankowanego artykułu Biblioteki Warszawskiej o tymże przedmiocie, pióra p. Święcickiego, niniejsza praca różni się tem, że mówi wyłącznie o poetach, pan Święcicki zaś przeważnie o prozaikach.

Praca p. A. Jabłonowskiego „Podole na schyłku wieku XV" ma wartość źródłową dla historyków, jako opis miast, zamków, wyświetlanie stanu rolnictwa i t. d.

Artykuł p. K. Jarochowskiego „Książę Klemens Metternich i jego pamiętniki" jest ciekawem streszczeniem wydanych niedawno pamiętników słynnego niegdyś ministra, o których szczegółowe sprawozdania czytaliśmy już w kilku pismach. Szkoda tylko że język i styl w tej pracy mocno szwankują, znaczna część błędów, które przytoczę niżej, pochodzi z tego artykułu.

P. Pawiński podaje wiadomość o świeżo odkrytych w Pergamie (w Azyi Mniejszej) zabytkach sztuki greckiej. Są to szczątki olbrzymiego marmurowego ołtarza, zbudowanego w III wieku przed Chr. przez króla Pergamu Attala I-go, na pamiątkę zwycięztwa nad najeźdzcami Galatami. Ołtarz był ozdobiony mnóstwem olbrzymich posągów i płaskorzeźb przedstawiających mitologiczną walkę bogów z olbrzymami (gigantami) walki Herkulesa i boje samego Attala z Galatami.

U autorów starożytnych zachowało się opisanie tego ołtarza, ale wszelkie ślady jego zaginęły: teraz tylko, po odkryciu tych zabytków, domyślają się że sławny posąg umierającego Galla w muzeum kapitolińskiem, musi pochodzić z ołtarza Attalowego. Na dworze Attalów kwitnęła sztuka grecka i najlepsi artyści wykonywali ów pomnik, na który król nakładu nie szczędził, gdyż kazał nawet sporządzić jego kopię i tę do Aten posłał. Obecnie szczątki połamanych płyt marmurowych, płaskorzeźb i posągów odkryte zostały w murze starodawnym, wzniesionym widocznie przez ciemnych mieszkańców, którzy dla obrony przeciwko barbarzyńcom ufortyfikowali się arcydziełami rzeźby greckiej, przesypawszy je ziemią, oblawszy wapnem i połączywszy żelaznemi klamrami. Barbarzyński ten wandalizm miał jednak tę dobrą stronę, że dzięki jemu przechowały się w ziemi te arcydzieła i dziś, po wiekach kilkunastu, zostały wydobyte na światło dzienne, wprawdzie tylko w stanie potłuczonych kawałków. Sztuka potrafi jednak złożyć te kawały i praca ta już się rozpoczęła. Odkrywcą był Niemiec Humann którego imię historya położy obok imienia Schliemanna, a nawet wyżej, gdyż odkrycie Humana, przez lat kilka pracowicie i z wielką wytrwałością prowadzone, jest ważniejszem niż wykopaliska trojańskie Schliemana. Można nawet powiedzieć, że od czasu odkryć pompejańskich odkrycia rzeźb egineckich i partenońskich, nie było ważniejszego dla archeologii klasycznej wypadku nad odkrycia pergamskie. Sądzono dotychczas, wnosząc z niezbyt gustownych i zdradzających upadek takich zabytków sztuki greckiej jak Laekoon, byk farnozyjski i t. d. że w epoce po Aleksandrze rzeźbiarstwo było już w stanie upadku, aż oto wykopaliska pergamskie przekonywają nas, że tak nie było, że sztuka grecka miała jeszcze dobę swego powtórnego, jesiennego rozkwitu, niewiele ustępującą epoce Fidyasza. Wartość bowiem artystyczna odkrytych zabytków, o ile już teraz sądzić można, jest niezmierną. Wszystkie te rzeźby znajdują się dziś w muzeum berlińskiem, gdyż rząd niemiecki umiał sobie zapewnić ich własność i to niewielkim kosztem: praktyczni Niemcy obliczyli (jak to czytałem niedawno w jednem czasopiśmie niemieckiem) że koszta odkopania owych zabytków i przewiezienia ich do Berlina wynoszą zaledwie 150,000 marek (72,000 rubli podług obecnego kursu), a wartość samego tylko marmuru, jako materyału, równa się 180,000 markom (około 85,000 rubli). O olbrzymich rozmiarach i wielkiej ilości zabytków może dać wyobrażenie podany przez to pismo szczegół, że waga ich wynosi 7,000 centnarów i że przywieziono je do Berlina w 463 wielkich pakach.

Rzecz p. Tyszyńskiego o powieściach historycznych Kraszewskiego jest więcej szczegółowem ich streszczeniem niż recenzyą.

O takich artykułach jak „Obyczaje ekonomiczne we Francyi," „Rachunki skarbu państwa rossyjskiego" i „Najnowsze poglądy na naturę pierwiastków chemicznych" do wydawania jakiegokolwiek sądu nie czuję się uzdolnionym: zdawałoby mi się tylko, że dwie ostatnie prace niezupełnie są stosowne dla takiego pisma jak Ateneum.

Niewiele też mogę powiedzieć o „Żywocie naukowym (sic) I. S. Zdzitowieckiego" pióra p. Znatowicza. Zgasły niedawno Zdzitowiecki był (co nie wszystkim wiadomo) dyrektorem instytutu w Marymoncie, zdolnym naturalistą i chemikiem; nie ujmując zasług tego uczonego męża, mniemam wszelako że biografią jego i studya nad jego działalnością wypadałoby jeszcze pozostawić przyszłości. Zresztą w tej pracy znajdujemy nieco zajmujących wiadomości o stanie szkół i nauk (głównie realnych) za czasów księztwa warszawskiego i w pierwszych latach królestwa.

Obszerniejszą wzmiankę poświęcę pracy p. Ochorowicza „Bezwiedne tradycye ludzkości" i powieści Kraszewskiego „Szalona".

Artykuł swój p. Ochorowicz nazywa „studyum z psychologii historyi" — szumnie i obiecująco nie tając nadto przed czytelnikiem tej dosyć przezroczysto w pierwszych słowach artykułu wypowiedzianej myśli, że psychologia historyi to nauka zupełnie nowa, którą dopiero on, autor, pierwszy stworzyć usiłuje. Ma to być, krótko mówiąc, wyjaśnienie ze stanowiska psychologicznego, rozmaitych podań bajecznych i dziejowych, wierzeń religijnych a także zaczątków kultury i cywilizacyi, obyczajów i poglądów dawnych wieków. Zadanie piękne i niełatwe i z ciekawością zabieramy się do czytania artykułu. Niebawem jednak przekonywamy się, że mamy tu zbiór rozmaitych wiadomości dosyć elementarnych, zarysów i anegdot, skompilowanych z dzieł obcych, szczególniej Darwina, Lubbocka, Tylora i innych pisarzy, przedstawiających w swych dziełach niewyczerpane kopalnie spostrzeżeń własnych i cudzych o wszystkich zwierzętach i o wszystkich ludach całej kuli ziemskiej; tyczą się zaś te spostrzeżenia, jak się mówi, „wszystkich rzeczy i niektórych innych." U niektórych z pisarzy szkoły darwinistyczno-materyalistycznej (nie wyłączając podobno samego Darwina) ów nawał szczegółów, częstokroć chaotyczny i sprawiający zawrot głowy, a rzekomo mający dostarczać porównań i analogii, pokrywa wielkie ubóstwo myśli i brak logiki. Mamy już i my dzieła w podobnym guście, jak np. młodociane wypracowania pana Świętochowskiego.

Niezbyt oczytanego czytelnika, powtarzam, mogą zająć kompilacye p. Ochorowicza, ale jakież jest ich wyjaśnienie psychologiczne. Oto próbki:

„Składanie rąk do modlitwy pochodzi od gestu niewolników wojennych, którzy *na znak pokory po dawali swe dłonie do wiązania*" (Maj str. 240).

„Ukłony wszelkiego rodzaju są objawem szczątkowym (pozostałością) *pochylania się wobec spodziewanego uderzenia gradu* (!) lub ręki ludzkiej" (tamże).

Tu już widzimy że *psychologia*, według zasad pozytywnych, które autor wyznaje, właściwie jest *fizyologią*, a przytoczone dwa objaśnienia zaprawdę są wielce charakterystyczne dla ducha i kierunku szkoły pozytywnej. Mniemano bowiem dotychczas że wznoszenie rąk do nieba jest gestem pochodzącym z uznania najwyższej Istoty, gdzieś tam *wysoko* w niedościgłych obszarach przebywającej, do której podnoszono i oczy i ręce i ducha. Kłaniano się także i bóstwu, wyrażając tem własne *uniżenie się* przed jego *wielkością*; ztąd i wszelkie ukłony, jako symbol grzecznego uznawania własnej *niższości* wobec bliźniego.

Dzisiejszym psychologom wyjaśnienie to nie wystarcza: oni wolą wywodzić wszystko od bicia i wiązania, od kija i postronka, dla tego zapewne że to objaśnienie jest *prostsze*, bardziej zwierzęce, nie wymagające przypuszczenia żadnej duszy ani żadnych wyższych popędów. Według tej „psychologii historyi" nie dziwilibyśmy się, gdyby np. *żegnanie* się znakiem krzyża autor wyprowadzał z policzkowania; że zaś *całowanie* jest zabytkiem *gryzienia* widoczne to, choć niewypowiedziane wyraźnie, ze słów autora na str. 248.

Tamże czytamy że prototypem (pierwowzorem) naszego *leżenia krzyżem* jest rozkładanie się *psa* łapkami do góry! Poruszenie głową na znak przeczenia ma pochodzić od „odwracania się od wstrętnej potrawy" (raczej: z *odpychania* od siebie czegobądź, a więc i wstrętnej myśli), odstawianie zaś warg na znak pogardy tłomaczy autor odsłanianiem *kłów* do gryzienia. To ostatnie głębokie (!) spostrzeżenie czytaliśmy już nieraz: przytaczano np. na dowód wyszczerzanie zębów przez kłócące się przekupki. Czy nie możnaby również przytoczyć, jako argument, odgryzanie nosa. dosyć często praktykujące się u jednego z mniej oświeconych narodów, jak o tem niekiedy donoszą gazety? Czy nie wypada wreszcie z tego wszystkiego, że ponieważ ludzie dawniej gryźli się i kąsali i ponieważ gryzienie i kąsanie jest tem samem zgodne z naturą ludzką, a zarzucone jedynie wskutek *idealistycznych mrzonek*, więc i teraz powinniśmy powrócić do tego chwalebnego zwyczaju przodków naszych (małp wązkonosych, podług pana Ochorowicza)? Mówi jednak nasz autor o gryzieniu jako *oznace* (!) przyjemności (chyba *objawie*) u dzieci, a nawet u ludzi dorosłych a mianowicie „u kobiet w pewnych chwilach wyjątkowego podniecenia." Dowiadujemy się dalej „że większą część uczuć łagodnych również *zawdzięczamy* zwierzętom, które je wyrobiły" i że nawet umysłowy rozwój ludzi powstał *z władz zwierzęcych*" (str. 251), dodane są anegdoty o małpach i psach. Co do nas, wyznajemy że trudno nam pojąć tę logikę darwinistów i materyalistów, według której jeżli np. małpa okazuje ciekawość i naśladownictwo, a pies wdzięczność i przywiązanie, to już ztąd wynika że ciekawości, naśladownictwa, wdzięczności, przywiązania i t. d. człowiek nie mógł wyrobić w sobie bez małpy i psa, lecz *zawdzięcza* te instynkta i uczucia właśnie psom i małpom. (d. c. n.)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Grudnia 1880 r.

Przed dziesięciu dniami, mieliśmy sposobność przypatrzeć się wytwornym strojom paryżanek, w Teatrze Rozmaitości, na przedstawieniu Offenbacha. Uroczystość tę na cześć zmarłego kompozytora, urządziła redakcya dziennika Figaro. Dochód przeznaczony był na pokrycie kosztów marmurowego popiersia zamieszczonego w *foyer* tegoż teatru. Z pomiędzy stu przeszło operetek pozostałych po zmarłym, wybrano do trzydziestu najcelniejszych; z tych pojedyncze akta lub sceny, odśpiewali najpierwsi artyści z czterech paryzkich oper. Widowisko zakończyło się uwieńczeniem popiersia. Nic ciekawszego jak ta defilada różnych grup, zarówno malowniczych jak charakterystycznych. Rozpoczęli ją bogowie olympijscy z *Orfeusza*, za nimi szli Bohaterowie Troi z *pięknej Heleny*, dalej chmary prostych śmiertelników, to strojny dwór *Księżnej Gerolstejn*, to gromada *Cyganów i Cyganek*, to grupy *Alzatów*, *Bretonów*, *Owerniaków*, to grono praczek paryzkich, z *Luretty*, ostatniej operetki Offenbacha.

Kompozytor, który zabawiał świat paryzki przez ćwierć wieku, po śmierci jeszcze, sprawił uciechę

paryżankom, dając im sposobność do popisania się z zimowemi modami, przystąpmy więc do głównego celu korespondencyi naszej, i opiszmy te świetne stroje.

Królowa Hiszpańska miała suknię popielatą atłasową w srebrnem odcieniu, zdobną fijołkowym aksamitem, i alansońskiemi koronkami. Kapelusik jasno popielaty, strojny pękiem piór lilla i blado żółtych, wytwornie dopełniał ubrania.

Pani Lesseps, wspaniale wyglądała w sukni atłasowej śliwkowego koloru; kołnierz stojący zahaftowany złotem, i takież mankiety, stanowiły tu główną ozdobę. Kapelusik do tego pluszowy w śliwkowym kolorze, z pękiem piór strusich, przepięty był z obu stron wielkiemi złotemi szpilkami.

Młoda amerykanka, miała suknię pluszową koloru rezedowego, przybieraną atłasem, podpinaną w koło kokardami barwy płomienistej. Przody spódniczki roztwarte były od jednego boku do drugiego. Pod to szła druga spódniczka atłasowa z odcieniem śmietankowym, naszywana pasmanteryą z białej sieczki. Stanik pluszowy, otwarty z przodu, miał pod spodem plastron z atłasu, bogato zahaftowany sieczką, zakończony u dołu kokardą płomienistą. Kapelusik okrągły pluszowy, tegoż koloru jak suknia, strojny był pękiem piór ognistych w rozmaitych odcieniach.

Odznaczała się między innemi suknia z czarnego fularu surah, bogato naszywana dżetem. Pod spód szła spódniczka także fularowa w blado błękitnem odcieniu, z czterema u dołu falbaneczkami: przód jej cały zahaftowany był rzutem z jaskółek. Boki czarnej sukni odwinięte do tyłu, tworzyły bogatą draperyą. Kapelusik czarny z dżetem i pękiem piór błękitnych ładnie dopełniał ubrania.

Inna suknia czarna atłasowa, otwierała się na spódniczce z brokateli ciemno pąsowej w złote kwiaty. Kapelusik czarny aksamitny, strojny był pękiem piór płomienistych.

Jedna z pań w żałobie, miała suknię czarną z aksamitu wyciskanego w deseń; kapelusik ze szneli plecionej przybrany wieńcem białego głogu.

Do najstrojniejszych należała suknia jasno szafirowa aksamitna, zahaftowana dżetem, ślicznie odpowiadał jej kapelusik czarny koronkowy z błękitnemi piórami i dżetową egretką.

Wspomnijmy nakoniec suknię z adamaszku czarnego, przybraną koronkami. Kapelusz atłasowy w odcieniu starego złota (viel or) strojny był bukietem z pąsowych makówek. Podobny bukiet zdobił koronkowy żabot na piersiach.

Przemyślni Francuzi, umieją korzystać z każdego wypadku czasowego, aby wymyślić nową modę. Teraz naprzykład, po wydaleniu zakonów, upodobano sobie kolory kapucyński i karmelicki. Co więcej niektóre elegantki noszą kostiumy, do ziemi, przypominające formą zakonny habit, przepasane srebrnym lub złotym sznurem, czyli tak zwanemi ogórkami. Dopełnienie takiego kostiumu stanowi rotonda ze szpiczastym kapturkiem, w formie kapucyńskiego, i kapelusik okrągły filcowy, opasany sznurem z kwastami.

Nie wszystkie jednak kostiumy, tak się e xcentrycznie przedstawiają. Widzimy wiele wigoniowych lub kaszmirowych, w kolorach czarnym, oliwkowym, ciemno fijołkowym, myrtowym, śliwkowym i tam dalej, spódniczka u nich zakończona wązką atłasową falbanką, nad nią idzie wolant kaszmirowy. Tunika do tego obłożona bywa szeroką plisą z pluszu w tymże samym kolorze. Stanik przedłużony u dołu, tworzy draperyą spadającą na biodra, objętą równie pluszem. Przody stanika roztwarte zwykle u szyi do końca bawetu. Pod spód idzie plastron atłasowy, tegoż koloru jak suknia przemarszczony poprzecznie. Na tym plastronie, przody sznurują się grubym jedwabnym sznurem, zakończonym kwastami.

Zwrócił uwagę naszą bardzo ładny paletocik czarny aksamitny, sięgający do kolan. Przody u niego proste, naszyte bogatą pasmanteryą z dżetem. Plisy aksamitne zachodziły nieco poniżej stanu; odtąd spadały dwa atłasowe, zaprasowane wolanty, łączące się po bokach, z przodami paletota.

Rękawy dosyć szerokie, mandarynki, przybrane były u ręki stosowaną pasmanteryą, równie jak środek pleców.

Kolorowe chusteczki na szyję, w kształcie podłużnych rogówek, ogólnie przyjęte w tym roku. Noszą je z fularu *Surah* gładkiego, albo w kratę, na tle błękitnem, blado różowem lub śmietankowem. Na niektórych krata bywa pluszowa w żywych kolorach. W koło idzie koronka alansońska lub angielska. Taka chusteczka przekręcona fantastycznie na piersiach, przepięta broszą, bardzo ładnie wygląda na gładkiej ciemnej sukni. Z pod niej wychodzi w górę mała fryzka, lub prosty płócienny kołnierzyk.

Do nowości tegorocznych należą niemniej maleńkie mufki atłasowe, czarne lub w kolorze odpowiednim do kostiumu. Przemarszczone są zwykle w poprzecz, ogarnirowane z obu stron od ręki, wolantem z koronki hiszpańskiej, na środku ozdobione wielką atłasową kokardą. Ukazało się także mnóstwo manszoników pluszowych i aksamitnych, ozdobionych futerkiem wydry, szęszyllą, albo piórami.

W biżuteryach moda upodobała sobie kogucika. Widzimy broszki, kolczyki, wachlarze, guziki, zdobne bądź emaljowanemi bądź rzeźbionemi kogutami. Sowa znalazła także wiele zwolenniczek. Na kapeluszach; świecące chrabąszcze zastąpiły dziś miejsce ptaków.

Opis Ryciny Kolorowéj.

Ubranie wieczorowe z okryciem Suknia z faille gładkiego i w drobne paski, garnirowana plisowaniem i bufkami. Okrycie z białego najcieńszego kaszmiru suto haftowane złotem i oszyte frendzlą jedwabną ze złotem.

Ubranie balowe dla młodej panienki. Suknia z gazy jedwabnej w rzucik ozdobiona koronką i kwiatami, ma stanik bluzkowy a spódnicę garnirowaną plisowanemi falbankami. Suta draperya tunikowa otwarta z przodu, z tyłu przepięta gałązką róż i drobnych białych kwiatów, takaż gałązka przypięta na ramieniu, przechodzi wzdłuż przez stanik.

Strojne domowe ubranie, odrobione było z czerwonawo bronzowego kaszmiru i trzech jedwabnych chustek ze szlakami w pasy w kolorach tureckich. Dwie chustki stanowiły draperyą na spódnicy, z trzeciej zrobione były kieszonki, baskina przy staniku, i kokardy przy rękawach i kołnierzu.

Od Redakcyi.

W roku przyszłym 1881, pismo Tygodnik Mód wychodzić będzie pod temi co dotąd warunkami. Przypominamy, że prenumeratę najlepiej jest uskuteczniać *bez żadnego pośrednictwa* w samej Redakcyi, bo tylko tym jedynie sposobem regularne odbieranie numerów może mieć miejsce.

Cena prenumeraty pozostaje ta sama, a mianowicie:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI
w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**
Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI
w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**
Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . rs. 1.
Półrocznie . . . . rs. 2.
Rocznie . . . . . . rs. 4.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się rycina kolorowa, oraz Prospekt Tyg. Powszechnego i dla prenumeratorów na prowincyi Prospekt Biblioteki najcelniejszych utworów.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 27 Ноября 1880 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz**. Wydawca **E. Skiwski**. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 50 r. 1880.

ZE WSPOMNIEŃ SIEROTY.

PRZEZ

F. MARYAT.

(przekład z angielskiego.)

(Dalszy ciąg).

— Z prawdziwą przykrością usłyszałem tak niespodziewaną dla mnie wiadomość, odpowiedział doktór biorąc kapelusz, ale ponieważ nie możemy cofnąć tego co się już stało, choćbyśmy się najwięcej dręczyli, radzę ci, panie Barnard, abyś starał się jak najmniej myśléć o nieszczęściu które spotkało Henryka. Może życzysz sobie abym ci przysłał jakąś zajmującą książkę, lub jakieś pismo peryodyczne? Trzeba koniecznie abyś oddalał od siebie o ile można, wszelkie posępne myśli.

— Dziękuję ci, doktorze, mam dosyć książek, przypominam ci tylko obietnicę że mnie wkrótce odwiedzi twoja dobra siostra, którą zawsze z taką przyjemnością witam u siebie. Ale, czy też ta śliczna panienka, twoja kuzynka, już zupełnie odzyskała zdrowie?

— Tak, już zupełnie zdrowa, dziękuję panu, odpowiedział doktór, którego serce na samą wzmiankę o Dorze znów silniej bić zaczęło.

— Cieszy mnie to szczerze; milutkie to dziecko; kiedy była u mnie ostatni raz, zdawało mi się że jej powabny uśmiech rozwesela smutne moje mieszkanie. Ile razy ją zobaczę przypomina mi pierwiosnek, tak naiwna, niewinna, takie jeszcze dziecko. Powinieneś czuwać nad nią, Ulryku, czuwać troskliwie.

— Mam nadzieję że potrafię odpowiedziéć temu zadaniu.

— Nie pozwalaj na to aby zaślubiła człowieka znacznie od siebie starszego. Ci panowie lubią wybierać na żony młodziutkie dziewczęta, ale nie przynosi to szczęścia ani jednej ani drugiej stronie, a często doprowadza do tego co spotkało mego biednego brata. Do widzenia, kochany doktorze, rozmowa z tobą przyniosła mi prawdziwą ulgę; lżéj na sercu skoro możemy powierzyć nasze troski prawdziwemu przyjacielowi. Do widzenia, powtórzył zacny starzec, gdy doktór wychodził szybko z pokoju, w którym przecierpiał takie moralne katusze.

Wydał furmanowi potrzebne rozkazy, wskoczył do powozu, zatrzasnął drzwiczki i rzucił się na siedzenie ruchem prawie rozpaczliwym. Przed godziną zostawał pod wpływem radości, uniesienia, najrozkoszniejszych myśli; teraz przypomniał sobie powzięte dawniej postanowienie, którego nie umiał dotrzymać. Ucieszył się mimowolnie gdy Dora odmówiła panu Bertram, gdyż sama myśl że będzie zmuszonym oddać ją innemu, sprawiała mu niewysłowione cierpienie, ale jednocześnie przyrzekł sobie że będzie usiłował zapanować nad swojem dla niej uczuciem, być dla niej tylko dobrym i troskliwym opiekunem, starać się zawsze hamować objawy przywiązania zdradzające stan jej serca, objawy wystawiające go na ciężką próbę. I dosyć było jednego jej słowa, jednego jej spojrzenia, aby to postanowienie rozprysło się bez śladu.

Kochał tę dziewczę miłością gorącą, nieznaną tym którzy roztrwonili swe uczucia na przelotne zapały, ale uznawał zarazem, że korzystać z jej niewinnego przywiązania, było to nakładać pęta na istotę nie znającą jeszcze co było potrzebnem do jej szczęścia, zagarnąć serce które nie miało jeszcze sposobności wyboru. Znajdował się w położeniu człowieka, który zerwawszy wonną lilję dla przyozdobienia swego pokoju, widzi że biedne kwiatki pochylają się, więdną, pozbawione ziemi dostarczającej im pożywnych soków. Jeżeli ten człowiek lubi prawdziwie kwiaty, będzie sobie wyrzucał popełnione na nich morderstwo, i aby zapomniéć o swem przekroczeniu oddali je co prędzej od siebie, bo cóż może być przykrzejszego nad tę myśl, że wydarliśmy komuś to czego nie możemy już wrócić.

Ulryk czuł w tej chwili że jeżeli chce odzyskać spokój sumienia, powinien cofnąć swoje przyrzeczenie, powinien wrócić wolność Dorze. Była świeża, piękna i czysta jak lilja, a cóż za to wszystko mógł jej dać w zamian, prócz swej miłości.

Kochał ją to prawda, ale nie wolno mu było poświęcać czasu dla jednej tylko kobiety. Przypomniał sobie jak raz już został zdradzonym, i że wtenczas zaraz dał sobie słowo że nigdy już nie stanie się igraszką żadnej z cór Ewy. Następnie nasunęła mu się na myśl wiadomość którą usłyszał przed chwilą, a te wszystkie rozmyślania i wspomnienia umocniły go w przekonaniu, że powinien zerwać zobowiązanie zawarte w chwili szału.

To drogie, niewinne dziecię, sądzi że mnie kocha, mówił w myśli, i niech ją Bóg błogosławi za to; ale jakież ona może miéć wyobrażenie o miłości i jej wymaganiach? Nie zna zupełnie świata, jest tak młoda i niedoświadczona, cóż więc dziwnego że pragnie pozostać na całe życie przy tym, który był dla niej zawsze dobrym i pobłażliwym. Jest to pragnienie kochania, bardzo usprawiedliwione u sieroty bez rodziny i przyjaciół, czującej że potrzebuje silnej i pewnej opieki—ale nie miłość rzeczywista, prawdziwa, kobiety zdolnej zbadać swoje uczucia, i dającej nam, z wszelką świadomością, pierwszeństwo nad innymi. Obowiązek nakazuje mi wykazać jej pomyłkę, i uwolnić od zobowiązania zaciągniętego nierozważnie.

Zaledwie jednak pomyślał o stanowczem rozłączeniu się z Dorą, serce jego powstało przeciwko tak okrutnemu wyrokowi. Lilja sama pochyla się w jego ręce, zerwie ją, nie ma siły odrzucić jej od siebie. Obecność tego dziewczęcia w jego domu stała mu się tak niezbędną, że dreszcz go przejmował na samą myśl czem, bez niej stałoby się dla niego życie. Coby się z nim stało gdyby opuściła go dobrowolnie, oddając innemu rękę i serce?

Skoro więc pragnęła pozostać przy nim, skoro rozłączenie było dla niej równie bolesnem jak dla niego, czemuż miał ją skazywać na takie cierpienie?

Któż zresztą może przewidzieć do jak nierozważnych, rozpaczliwych czynów mógłby ją doprowadzić jej gorący temperament, pod wpływem pierwszego wrażenia, gdyby doznała tak ciężkiego zawodu, gdyby sądziła że pogardzono jej miłością? Nie, nie, trzymał w ręku lilję, i zatrzyma ją do końca życia. bo i on nakoniec *zapragnął* być szczęśliwym.

Znów smutne dzieje Henryka Bernard i żony jego stanęły mu w myśli, i zadał sobie pytanie coby się z nim stało, gdyby to niewinne a jednak gorące uczucie które teraz ma dla niego tyle uroku, ostygło wśród prozy małżeńskiego pożycia.

Następnie, przedstawił sobie Dorę, tak młodą, piękną, żywą, powabną a niedoświadczoną, pozostawioną samej sobie, wystawioną na hołdy i pochlebstwa tłumów. Co uczyniłby w razie gdyby on, tak powszechnie poważany i szanowany w Rockborough, miał następnie spotykać tylko pogardę lub litość, gdyby ubolewano nad nim że zawierzył obietnicom tak młodziuchnego dziewczęcia; coby się z nim stało gdyby go kiedyś pokazywano palcami jako szaleńca, któremu się zdawało że jest dość powabnym aby wzbudzić prawdziwą i stałą miłość w sercu dziewczęcia które mogłoby być jego córką?

Jakkolwiek przyznawał pokornie że nie posiada potrzebnych warunków do pozyskiwania serc kobiecych, był nader drażliwym na wszystko coby mogło zaszkodzić jego sławie, zmniejszyć wysokie wyobrażenie o jego rozumie; wolałby już być nazwanym złym niżeli głupim, gdyż był przekonany że ostatni są szkodliwsi od pierwszych. Zdawało mu się że nie zdołałby przeżyć takiej hańby jaka spadła na Henryka Barnard'a, a gdyby nawet cios tak straszny nie zabił go odrazu, nie mógłby już nadal oddawać się swemu tak użytecznemu powołaniu, byłby zmuszony opuścić miejsce w którem by go spotkało takie nieszczęście. Raz już został zawiedzionym i tak wiele przecierpiał z tego powodu, teraz byłoby gorzej jeszcze. Pomimo że kochał Dorę miłością głęboką, gorącą, przypomniał sobie że była córką Cecylji Halsted, z której ust słyszał także nie raz zapewnienie szczerej, dozgonnej miłości.

Smutne to było wspomnienie i nasuwało się nie w porę, ale trudno mu było oddalić je od siebie, i zaledwie wsiadł do powozu wracając od któregoś z chorych, sięgał myślą w smutną przeszłość swoją, i badał niespokojnie przyszłość.

Pomimo tych wszystkich wspomnień i rozmyślań nie mógł żałować tego co się stało, nie miał siły wyrzec się szczęścia którem los darzył go tak niespodziewanie, a jednak doznawał jakiegoś przykrego uczucia: zdawało mu się że przyjmuje łaskę do której nie ma żadnego prawa. Jego rozum i serce staczały z sobą zaciętą walkę. Wiedział dobrze czego żąda, ale powątpiewał o godziwości swych żądań słowem, sprzeczne z sobą myśli i uczucia napełniały jego umysł i serce. Na podobne walki bywają zwykle narażeni ludzie obdarzeni drażliwem sumieniem i silną wolą, i osoby posiadające podobny charakter uznają że to wahanie się doktora Ford'a było zupełnie naturalnem. Gdyby więc usposobienie jego, w tak ważnej chwili życia, nie podobało się czytelnikom, jeżeli wyda im się zbyt lękliwym i niezdecydowanym na człowieka obdarzonego silnym rozumem, mężną duszą i niezłomną wolą, jak staraliśmy się go przedstawić, niech, w takim razie, zamiast ganić naszego bohatera, przypiszą winę niezdolności autora.

Zresztą musimy jeszcze dodać na obronę Ulryka,

że w tej chwili nie był już samym sobą, i że gdyby mógł zastanawiać się nad tem równie spokojnie, równie chłodno jak zwykle, nie byłby zakochanym, a on kochał Dorę z całej duszy.

Wrócił do domu w usposobienin pośredniem między radością a niepokojem, i udał się natychmiast do siebie aby się przebrać do obiadu. Wbiegł szybko na schody pod wpływem komicznej trochę obawy, aby nie spotkać siostry, i nie wyczytać z jej twarzy że już wie o jego matrymonialnych zamiarach; uniknął jednak szczęśliwie podobnej przykrości. Wszedłszy do sali jadalnej, zastał tam już siostrę i Dorę, odmówił zaraz modlitwę przed jedzeniem, usiadł, i zaczął jeść zupę. Czuł się tak nieśmiałym, tak zakłopotanym jak student, i nie śmiał spojrzeć na siedzącą obok niego osobę w białej sukni. Zdawało mu się że nawet służący muszą odgadywać co się dzieje w jego sercu i okazał się słabym, słowem zdawał się tak głęboko zajęty zupą i obowiązkiem jak najśpieszniejszego jej spożycia, że siostra zaczęła w końcu żartować z niego.

— Dajże pokój tym rozmyślaniom! zawołała kiedy sprzątano pierwsze danie. Musiałeś być dziś na pogrzebie, że jesteś tak małomównym.

Zadrżał, jakby głos jej przebudził go nagle z zamyślenia, a potem spojrzał uważnie na siostrę, i przekonał się że nie wiedziała nic jeszcze jak ważna zmiana miała nastąpić w jego życiu. Twarz jej była weselszą niż przez te kilka dni po wyjeździe pana Bertram, i zdawała się więcej usposobioną do żartów jak do gniewu i dąsów. Uspokojony odpowiedział żartobliwie:

— Mylisz się, gdyż przeciwnie byłem dziś świadkiem zmartwychwstania.

— A! domyślam się, było to jakieś cudowne uzdrowienie; nie pytam się jednak o szczegóły, wiedząc jak nie lubisz mówić o wszystkiem co dotycze twych pacyentów.

— O! tak, było to cudowne i zupełne uzdrowienie, odpowiedział spoglądając na *swą narzeczoną*.

Oczy jego spotkały się z oczami Dory, i wyczytał w nich tak nieograniczoną miłość i ufność, że wszystkie jego pulsa zaczęły bić gwałtownie żyły na skroniach zarysowały się wyraźniej, a później, kiedy Dora odwróciła głowę, wzrok jego długo zatrzymał się na niej.

Miała na sobie skromną białą muślinową suknię i bukiecik bladych róż herbacianych przypięty do gorsu. Jedyną ozdobą jej ślicznych włosów, były promienie zachodzącego słońca, igrające na grubych warkoczach i drobnych loczkach nad czołem. Na jej ślicznej twarzyczcze odbijała się taka czystość duszy, w spojrzeniu jej pięknych oczu malowało się tyle szczerego uczucia, że widząc ją zadumaną, i pewny że on jest przedmiotem jej myśli, powiedział sobie, że nic na świecie nie zdoła go skłonić do wyrzeczenia się Dory.

W jej całej postawie było w tej chwili coś smętnego; i to niepokoiło jego serce i umysł; zdawało mu się że odgadła myśli dręczące go przed powrotem do domu, a które teraz wydawały mu się bluźnierstwem przeciwko miłości. Cóż go to mogło obchodzić że znajdują się kobiety zalotne i lekkomyślne, lub żony zdradzające mężów? Charakter tego dziewczęcia był tak odmienny od tych jakie napotykamy zwykle, iż wszelkie rozumowania dobre i słuszne w innych razach, nie dadzą się zastosować do tak wyjątkowej natury.

Jakiż to spokój, jaka niewinność i powaga maluje się w jej twarzy! Samo tylko jego wyznanie że ją kocha przeobraziło ją już zupełnie: nie było to już dziecko, ale kobieta. Ileż to szczęścia czeka go w przyszłości, gdy się z nią połączy!

Patrzył z rozrzewnieniem na swą śliczną narzeczoną, gdy zadumana wpatrywała się w niebo zarumienione purpurowym blaskiem zachodzącego słońca, i sięgając myślą w dalsze jej lata, przedstawił ją sobie najpród jako młodziutką i uroczą mężatkę, potem jako dobrą, rządną i uprzejmą gospodynią domu, a następnie jako matkę rodziny wśród czerstwych i rumianych cherubinków równie jak matka pięknych i kochających, które będą wołać na niego pieszczotliwie *ojczulku!* Jakto! dzieci w jego domu? w tym domu tak pustym i smutnym przed jej przybyciem. Czy może uwierzyć temu że drobne istotki będą stawiać pierwsze swe kroki na tych miękkich kobiercach i taczać się po nich jak młode kocięta: że ile razy wróci do domu, małe psotniki, nauczone przez swą dobrą matkę jak trzeba kochać ojczulka, witać go będą radosnym śmiechem!

I on mógł pomyśléć o wyrzeczeniu się tak błogiego szczęścia, dla tego że przyjaciele straszą go jakiemś niebezpieczeństwem, i on mógł sądzić że nie ma do niego prawa, jakby ono nie było darem ręki Bożej. O! nie będzie już myśléć o tych nieuzasadnionych przestrogach, o tych płonnych obawach; czara szczęśliwości dotyka ust jego, i wychyli ją do ostatniej kropelki.

— Doprawdy, Ulryku, potłuczesz talerze i szklanki jeżeli tak dalej będzie. O czemże tak rozmyślasz? zawołała miss Maryanna; dotknięta tem że nie zdołała zachęcić brata do rozmowy.

Nie wiedział wcale czem zasłużył na to połajanie, ale z jej słów domyślił się że musiał potrącić talerzem stojący przed nim kieliszek lub szklankę; tym sposobem zwrócił na siebie uwagę siostry i rozbudził Dorę z zamyślenia. O! jakże uroczą była zmiana którą ujrzał w tej chwili na twarzy dziewczęcia! Jak go zachwycał ten śmiech dziecięcy, którym wybuchła spostrzegłszy na twarzy opiekuna wyraz jakiejś komicznej skruchy. Przeprosił pokornie za swe mimowolne przekroczenie, a następnie zwrócił na Dorę spojrzenie tak gorące, tak jej zupełnie jeszcze nieznane, że lica i czoło biednego dziewczęcia pokryły się nagle szkarłatnym rumieńcem.

Nieszczęściem, miss Maryanna dostrzegła to spojrzenie i wywołany przez niego rumieniec, co, jak łatwo się domyśléć, nie ułagodziło jej bynajmniej; prosiła też brata aby swym medycznym rozmyślaniom oddawał się w swym gabinecie, a przy stole znajdował się tak jak człowiek ucywilizowany. Następnie, zwracając się do Teodory, upominała ją aby siedziała przyzwoicie, nie opierając się plecami o poręcz krzesła, i z tego powodu zadała sobie głośno pytanie, coby to pomyślano o niej kiedy była młodą panienką, gdyby przybierała tak pełne zaniedbania pozy.

Ulryk czując nadchodzącą burzę, dokończył prędko obiad, i schronił się do swego gabinetu, towarzyszyły mu tam błogie, szczęśliwe myśli. Tchnienie miłości rozproszyło czarne chmury rzucające cień posępny na jego życie, i niebo jego było już zupełnie czyste i pogodne. Teraz żal mu było tylko jednej rzeczy, to jest czasu spędzonego zdala od Dory; a pragnął także jednej tylko, ją zobaczyć jak najprędzej, przycisnąć do serca, i powiedzieć jej jak bardzo ją kocha.

— Czy mogę wejść, kuzynie Ulryku? Chciałabym ci coś powiedzieć.

Stała na progu tych drzwi których nie przechodziła nigdy bez jego pozwolenia, i z tą swoją białą, przejrzystą suknią i jasnemi włosami, zdawała się być aniołem stróżem Ulryka. Zdawała się być? źle się wyrażam; on uważał ją już rzeczywiście za anioła stróża swego domowego ogniska.

Zbliżył się do narzeczonej, wprowadził ją do pokoju, zamknął drzwi i przycisnął ją do serca, niezdolny wyrzec jednego słowa. Gdyby w tej chwili tysiące ust rzuciły klątwę na Teodorę, nie zachwiałoby to jego wiary że ona jedna na świecie potrafi go uszczęśliwić.

— Czy jesteś pewnym, kuzynie Ulryku, że tego nigdy żałować nie będziesz?

To pytanie zdawało się być echem myśli dręczących go parę godzin temu, odpowiedział jednak bez wahania.

— Czy nie będę żałować? To ja powinienbym zadać ci to pytanie, ukochana moja, bo ty jedynie mogłabyś mieć kiedyś powód do ubolewania nad tem że zgodziłaś się zawrzéć ze mną nierozerwalny związek.

— Jak możesz mówić coś podobnego? Jestem jeszcze tak młoda, nierozważna, a często nawet nierozsądna, gdy ty pod każdym względem posiadasz tak wielką wyższość nademną.

— Nawet co do liczby lat. Czy wiesz, Doro, że jestem starszym od ciebie o dwadzieścia dwa lata, to zbyt wielka różnica.

— Ciągle mi to przypominasz, kuzynie Ulryku, rzekła z zadąsaną minką. W końcu nabiorę tego przekonania, że powtarzasz to umyślnie aby mi dać uczuć że jestem tylko bezrozumnem dzieckiem:

— Stanowi to jednak przepaść otwartą między nami.

— Czy tak głęboką że miłość nie zdoła jej zapełnić? zapytała.

— O! masz słuszność Doro, ty mi dowiedziesz tego że gdzie jest miłość prawdziwa tam niknie różnica wieku, i niech cię Bóg za to błogosławi w każdej chwili życia! Dręczyłem się tą myślą przez kilka godzin, że związek z takim starym jak ja, nie zdoła cię uszczęśliwić.

— Z takim starym! powtórzyła marszcząc brwi. Niedługo zapewnie zaczniesz wmawiać we mnie że jesteś głuchym, niewidomym i kaleką; dziwi mnie to nawet że nie utrzymujesz dotąd że te silne i tak zręczne ręce są pozbawione władzy. Ale, kuzynie Ulryku, nie mamy sobie nic do wyrzucenia, bo jeżeli ty się dręczyłeś to i ja czyniłam toż samo.

— Ty, Doro! i z jakiego powodu? Czy litowałaś się nademną, że mam tyle kłopotu z takiem dużem i rozpieszczonem dzieckiem?

— Tak, mniej więcej. Zadawałam sobie pytanie czy nie znużę cię kiedyś moją głupotą, a nadewszystko czy mogłoby zdarzyć się coś takiego coby mnie pozbawiło twego przywiązania?

— Nigdy, Doro. Możesz być pewną że nic w świecie nie zdoła osłabić mej miłości dla ciebie.

— Nic? nic cokolwiek mogłabym kiedyś powiedzieć lub uczynić? Nic takiego co mi się kiedyś mogło przytrafić? Bo muszę ci wyznać, kuzynie Ulryku, że byłam często roztrzepaną, nierozważną, że postępowałam niekiedy z bardzo naganną lekkomyślnością.

— Jestem pewny że oskarżasz się niesprawiedliwie, że nie uczyniłaś nigdy nic rzeczywiście nagannego, a jeżeliś nawet postąpiła nierozważnie przez brak zastanowienia, to nie może zmienić moich uczuć dla ciebie.

— O! jakże mnie to cieszy!! odpowiedziała. Tak byłam niespokojna przez cały czas twej nieobecności, bo któż wie co się stać może, a ja nie mogłabym znieść tego abyś z mego powodu miał doznać

jakiejś przykrości. Wszak mi zawsze będziesz ufać, kuzynie Ulryku? wszak nie uwierzysz choćby ci ktoś co złego powiedział o mnie?

— To co mówisz, drogie moje dziecię, jest rzeczą nieprawdopodobną. Któżby w mojej obecności ośmielił się mówić coś złego o tobie; nie możesz nawet obawiać się czegoś podobnego.

Przyszło mu jednak na myśl że było to dziwne zastrzeżenie ze strony narzeczonej, ale przypisał tę obawę jedynie jej nieograniczonej dla siebie miłości, i nie zastanawiał się nad tem dłużej.

— Słówko jeszcze, rzekła cicho, kiedy już zamierzali udać się do salonu. Pomów sam z kuzynką Maryanną, bo ja nie mam na to dość odwagi.

— Jak najchętniej; i to dziś jeszcze skoro udasz się na spoczynek. Ale nie powinnaś już jej się obawiać, Doro, gdyż zostanie twoją siostrą.

— O! nie, nie, odpowiedziałam zadrżawszy lekko; ona nie zechce, nie będzie mogła być dla mnie siostrą, czasem nawet zdaje mi się że byłaby zadowoloną z tego gdybym umarła.

Położył rękę na ustach narzeczonej.

— Tak mi się przynajmniej zdaje, ale... powiedz mi czy trzeba koniecznie abym ją bardzo kochała? Chciałabym oddać tobie całe moje serce, i nie kochać nikogo prócz ciebie, jeżeli tylko pozwolisz na to.

Wchodzili na schody nieoświetlone jeszcze, i korzystając z tego odpowiedział jej tylko pocałunkiem!

VIII.

Co myślą przyjaciele doktora Ford o jego ożenieniu.

Jeźli przypominamy sobie jak doktór Ford obawiał się spotkania z siostrą, myśląc że może już coś posłyszała o jego zamiarach, to pojmiemy jak musiał czuć się zakłopotanym, gdy już zbliżała się chwila w której miał sam udzielić jej tak ważną wiadomość. Kiedy jednak Dora i miss Maryanna odchodziły już do swych pokojów, zebrał całą swą odwagę i zawołał na siostrę:

— Zostań jeszcze chwilkę, Maryanno, chcę ci coś powiedzieć.

Dora, posłyszawszy te słowa wbiegła na schody jak ptaszek, i zamknęła się w swoim pokoju.

— Najchętniej, Ulryku, odpowiedziała miss Ford; i trzymając w ręku koszyczek z kluczami, jakąś robótkę i trzy książki, usiadła naprzeciwko brata.

— Chcę cię uwiadomić o czemś takiem, co wywrze wielki wpływ tak na moją jak na twoją przyszłość, a co stało się dziś właśnie. Nie widzę dla czego miałabyś przyjąć niechętnie tę wiadomość, skoro jestem przekonany że pragniesz dla mnie wszystkiego co może przyczynić się do mego szczęścia, a wyznaję, że mogę je pozyskać tylko w takim razie, jeżeli zamiar o którym mówię zostanie ziszczonym.

— Wyrażasz się bardzo niezrozumiale, rzekła miss Maryanna patrząc na niego z wyrazem najżywszej ciekawości.

Mówił dotąd dość płynnie i prędko, ale uwaga siostry pomieszała mu szyki; otarł kilka razy czoło chustką, przygryzł usta, zmarszczył brwi, poprawił się na krześle, a nakoniec rzekł uderzając nogą o posadzkę:

— A więc postaram się mówić wyraźniej. Czy ci to nigdy nie przyszło na myśl Maryanno, że mogę się ożenić?

Gdyby Ulryk powiedział siostrze że umrze za chwilę, nie mogłaby już przerazić się bardziej; klucze, robota, książki wysunęły się z jej rąk, i z hałasem upadły na podłogę, ale nie zwróciła na to uwagi, tylko siedziała sztywna i nieruchoma naprzeciwko brata i wpatrywała się w niego z gniewem, otworzywszy szeroko oczy i usta.

Ulryk zmarszczył czoło widząc że słowa jego wywołały tak wyraźne objawy niezadowolnienia. Nie życzył sobie odgrywać roli winowajcy siedzącego na ławie oskarżonych i wyznającego swoje winy; dosyć już uczynił starając się przygotować siostrę do tej wiadomości, i nie zniesie żadnych złośliwych lub nieprzychylnych uwag nad tem co uznał dobrem, i właściwem dla siebie.

— Nie spodziewałaś się tego, jak widzę, rzekł zimno, odpowiadając na piorunujące spojrzenie siostry.

— Nie mogę temu uwierzyć, odezwała się nakoniec miss Ford przerywanym głosem. Czy rzeczywiście chcesz się ożenić? Może ja cię nie zrozumiałam, Ulryku?

— Zrozumiałaś bardzo dobrze; ożenię się, i to wkrótce. Czy jest w tem coś tak nadzwyczajnego że człowiek posiadający takie jak ja stanowisko i takie warunki bytu, zapragnie mieć żonę?

— Ale po tylu latach, po tem co zaszło w przeszłości, a nadewszystko kiedy już tak długo i tak starannie zarządzałam twym domem, spełnienie podobnego zamiaru zadałoby mi cios bolesny, okrutny.

— Wymówka taka jest mi bardzo przykrą, Maryanno, odpowiedział łagodnie; rządziłaś dobrze i starannie moim domem, i możesz być pewną że nie zapomnę o tem, ale chcę widzieć przy moim stole, naprzeciwko siebie, rzeczywistą panią domu, i stanie się to o ile będzie można najprędzej, bo nie mam wiele czasu do stracenia.

— A cóż się stanie z tą biedną małą, zawołała miss Ford, w której zbudziło się nagle głębokie współczucie dla Dory. Wziąłeś ją do siebie, Ulryku, dogadzałeś jej, pieściłeś ją, uważałeś ją sam za przybraną córkę, i postępowaniem swojem kazałeś się tego domyślać wszystkim; a jeżeli człowiek bezżenny przybiera dziecko, daje przez to do zrozumienia że nie ożeni się już nigdy, i że to dziecko odziedziczy kiedyś wszystko co po nim pozostanie. Nie mogę zataić tego, Ulryku, że podług mnie wyrządzasz ciężką krzywdę Teodorze Fleming, skoro zamierzasz się ożenić, po wszystkiem czego jej się pozwoliłeś spodziewać.

— Czy tak sądzisz? Uspokój się w takim razie; mogę cię zapewnić że dołożę wszelkich starań aby moje ożenienie nie wpłynęło źle na szczęście i przyszłość Dory.

— Przebacz jeżeli ci powiem, że to co mówisz nie ma sensu! odpowiedziała niecierpliwie, gdyż położenie jej w twoim domu musiałoby uledz zupełnej zmianie.

— Bezwątpienia.

— A więc miałam słuszność utrzymując że jej wyrządzisz krzywdę, zadawalniając swe własne chęci. Nie mówię już o sobie, choć byłoby to dość naturalnem, ale przemawiam za tem biednem dziewczęciem.

— Jakże cię więc ucieszą dalsze moje zwierzenia, Maryanno? Jak wielką ulgę przyniosły mi twoje uwagi. Położenie Dory może się tylko polepszyć przez moje ożenienie, gdyż ją to właśnie mam zaślubić.

Nic z tego co dotąd mówił doktór Ford nie mogło przygotować miss Maryanny do tak odurzającej wiadomości, nie domyślała się i tego nawet że już wybrał swą przyszłą towarzyszkę życia, dla tego też zdumienie jej było tak wielkie że na kilka minut pozbawiło ją mowy. Na twarz jej wystąpiła śmiertelna bladość, usta, nawet ręce jej zsiniały, małe, czarne oczy zdawały się wychodzić ze swej oprawy, i wyglądały jak dwie świecące lawowe gałeczki na tle z sinawego marmuru.

Ulryk widząc że jej zadał cios bardzo gwałtowny, uzbroił się zawczasu w cierpliwość do przetrzymania burzy która na niego spaść miała.

— *Teodorę*! zawołała nakoniec, *Teodorę*! Chcesz ożenić się z tą którą sam nauczyłeś aby uważała cię za ojca? *Teodorę*, córkę tej która była twoją narzeczoną? Powinienbyś wstydzić się samego siebie.

Zmięszał się rzeczywiście, choć wstydzić się nie miał powodu. Pierwszy to raz dopiero od chwili w której Cecylja Halsted złamała dane mu słowo, siostra jego poważyła się przypomnieć mu tak bolesny dla niego wypadek; dla tego też doktór Ford zarumienił się a potem zbladł nagle i odwrócił głowę.

Przewidział to że świat przyjmie z pogardliwym uśmiechem wiadomość o jego połączeniu się z Dorą, wiedział że ściągnie na siebie surową naganę za taki dowód słabości, i czuł że poniekąd zasługuje na nią, dla tego też postanowił słuchać w milczeniu dopóki słowa siostry będą obraźliwemi tylko dla niego.

— Śmiało powtórzyć mogę, odezwała się znowu, że powinienbyś wstydzić się samego siebie. Co świat na to powie? Co pomyślą twoi pacyenci? Jakie zdanie powezmą o tobie twoi koledzy? oni, co dotąd wierzyli tak głęboko w twój rozum, w twój rozsądek, i co tak chętnie polegali na twojem zdaniu. Powiedzą że już dziecinniejesz; bo jest to już prawdziwem szaleństwem żenić się w twoim wieku, zwłaszcza skoro masz kogoś starającego się abyś miał wszystko czego możesz żądać, i skoro byłeś z tego zadowolnionym przez tyle lat, i nie myślałeś zaprowadzać zmiany w twoim domu; ale wybrać sobie jakąś pensyonarkę, dziewczynę roztrzepaną, bez doświadczenia, która jest przekonaną że mógłbyś być jej dziadkiem, to już rzecz nieprzyzwoita, wstrętna i powinienbyś sam czuć to i pojmować.

Nastąpiła chwila milczenia, gdyż miss Ford potrzebowała odetchnąć i poszukać chustki od nosa, która jej była niezbędnie potrzebną we wszystkich sprzeczkach domowych, do ukrywania łez udanych lub prawdziwych, potem odezwała się znów płaczliwym głosem:

— Gdybyś... gdybyś przynajmniej wybrał osobę rozsądną i doświadczoną, nie byłoby to tak bolesnem dla mnie... chociaż... kiedy pomyślę jaką starałam się być dla ciebie... sprawiłoby mi to zawsze niewysłowioną przykrość... pod każdym względem. Ale być zmuszoną ustąpić miejsca dzieciakowi równie niezdolnemu zarządzać domem jak zbudować pałac; przewidywać że wszystko marnować się będzie... że nakoniec, ty sam staniesz się pośmiewiskiem całego Rockborough... to już przechodzi moje siły... obawiam się aby mi serce nie pękło z żalu.

— No, no, uspokój się, nie będzie tak źle jak ci się zdaje, odpowiedział Ulryk z uśmiechem, kładąc rękę na jej ramieniu.

Nie mogła znieść jego uśmiechu, oburzała ją jego wesołość; cofnęła się żywo, jakby na ramieniu swem uczuła rękę wroga, a nie tak dobrego brata.

— Będzie stokroć jeszcze gorzej! zawołała z oburzeniem, i przekonasz się o tem z własnego doświadczenia, jeżeli będziesz dość szalonym aby powierzyć rządy twego domu tak młodej dziewczynie. Czy

myślisz że ona dba o ciebie? Czy nie odmówiła Wiliamowi Bertram, dla tego że jej się wydawał starym? A powiedz mi, który z was jest starszym? Cóż więc mogło skłonić Teodorę aby tobie dała pierwszeństwo, jeżeli nie twój majątek i twoje stanowisko w świecie? Podstępna to istotka, nie mająca więcej rozumu od pięcioletniego dziecka, ale przebieglejsza od pięćdziesięcioletniej osoby. Uważałam już dawno jak manewrowała około ciebie, ale sądziłam że nie jesteś tak łatwowierny abyś dał się uwikłać w zastawione przez nią sieci, tak słabym aby...

— Dosyć już tego! zawołał Ulryk piorunującym głosem, i położył znów rękę na jej ramieniu, ale teraz już czuć było w tem dotknięciu gniew straszliwy. Znosił cierpliwie obelgi któremi ciskała mu w oczy, ale kiedy zaczęła powstawać na Dorę, uznał że czara już przepełniona i że nie powinien znosić tego dłużej. Spojrzał na nią tak surowo, że pochyliła głowę i drżąc oczekiwała burzy którą sama wywołała.

— Dość tego, powtórzył, słuchaj teraz co ci powiem. Zniosłem dziś wiele od ciebie, ale posunęłaś się tak daleko, że nie masz prawa żądać abym był dłużej równie cierpliwym. Kocham Teodorę Fleming i jestem pewnym jej wzajemności, gdyby więc nietylko cała Anglja, ale cały świat był przeciwnym naszemu połączeniu, ożeniłbym się z nią, nie zwracając na to uwagi: widzisz więc jaką przywiązuję wagę do wszelkich rad i przestróg któremi chcianoby zmienić moje postanowienie. Ale chcę ci powiedzieć coś więcej jeszcze: To biedne dziecię nie ma innego schronienia prócz mego domu, a może w nim pozostać tylko pod twoją opieką; gdybyś więc w przystępie gniewu oddaliła się z tego domu, lub jeżeli uczynisz nam go nieznośnym przez ciągłe sprzeczki i niesprawiedliwe wymagania, ostrzegam cię że rozłączymy się na zawsze, i że nie będziesz mogła rachować na to abym pamiętał o twych wygodach i drobnych przyjemnościach życia. Nieskończyłem jeszcze. Powinnaś odtąd widzieć w Teodorze Fleming moją przyszłą małżonkę, panią tego domu i wszystkiego co posiadam. Powinnaś otoczyć ją swą opieką: być stróżem jej godności, tak względem obcych, jak względem mnie samego i nie zapominać, że znieważając ją znieważałabyś mnie samego. Teraz powtarzam ci raz jeszcze, że jeżeli zechcesz działać wbrew moim poleceniom, zmusisz mnie do zerwania z tobą wszelkich stosunków, i to na zawsze.

Mówił do niej tonem poważnym, rozkazującym, a miss Maryanna odpowiadała mu już tylko łzami. Chciała rozpocząć z nim walkę, została zwyciężoną i musiała wrócić do tej uległości której wymagał od niej zawsze; Ulryk zaś pewny że nie potrzebuje się już obawiać oporu z jej strony, mówił dalej łagodniejszym głosem:

— Nie kochałaś nigdy Dory, Maryanno; dla czego, to trudno odgadnąć, bo nigdy Bóg nie zesłał milszej istoty dla rozweselenia ponurego domu człowieka posępnego, tetrycznego; ty jednak nie lubiłaś jej nigdy, widziałem to od samego początku. Widziałaś w przesadzonem świetle najdrobniejsze jej wady, potęgowałaś je w swym umyśle, i w końcu doszło do tego że uwierzyłaś w te swoje urojenia. Szczęściem poznałem się na tem, i jakkolwiek oni utrzymują że Dora jest doskonałą, (czego zresztą nie wymagam od mojej żony), śmiało powiedzieć mogę że ma charakter łagodny, uległy, szczery i szlachetny, a serce umiejące kochać, i że potrafiłaby ci się odwzajemnić za każdą oznakę życzliwości z twej strony. Nie żądam bynajmniej abyś jej okazywała uczucia których nie doznajesz, proszę cię tylko abyś była dla niej uprzejmą, i abyś nie dawała jej do zrozumienia jak dalece jesteś przeciwną naszemu połączeniu.

— Jeszcze jedna rzecz którą zalecam ci usilnie, dodał po krótkiem milczeniu. Starałaś się przypomnieć mi przed chwilą że byłem kiedyś zaręczony z Cecylją Halsted, proszę cię więc abyś już nigdy nie czyniła o tem najlżejszej wzmianki. Nie stanowi to żadnej rzeczywistej przeszkody do mego związku z jej córką, tem więcej, że Dora, któią o tem uwiadomiłem, sądzi także, że to nie przeszkadza nam połączyć się z sobą, w każdym jednak razie, powtarzam to raz jeszcze, życzę sobie abyś odtąd nigdy już nie dotknęła tego przedmiotu choćby jednem tylko słówkiem. Teraz, moja droga Maryanno, przebacz mi jeżeli to co powiedziałem sprawiło ci przykrość; pojmuję że ta wiadomość mogła cię zadziwić, że ci trudno pogodzić się z myślą o tem małżeństwie, ale pomimo to nie powinaś zapominać o poszanowaniu należnem mnie, Teodorze Fleming, a nadewszystko o poszanowaniu które winnaś samej sobie.

Kończąc te słowa pocałował siostrę w czoło i wyszedł z salonu.

Zostawił biedaczkę pod wpływem bardzo przykrych uczuć: czuła to że popsuła własną sprawę przez ten niewłaściwy wybuch gniewu, że złą obrała drogę, i że (gdyby nawet znalazła się jakaś do tego sposobność), nie będzie już mogła wpłynąć na brata aby się wyrzekł tak niemiłego dla niej zamiaru. Oburzało ją zawsze samo przypuszczenie że Ulryk mógłby się ożenić z kimkolwiek; byłoby to nader dla niej bolesnem choćby nawet wybrał miss Matyldę Upjohn, jej najlepszą przyjaciółkę, i widzieliśmy już że chcąc go uchronić od jej zabiegów, dała jej zręcznie do zrozumienia że doktór Ford ma już inne zamiary.

Nie miała żadnego powodu do znienawidzenia Teodory, ale zazdrościła już kuzynce swej Cecylji że Ulryk kochał ją tak szczerze, zazdrościła później że tak długo nie mógł o niej zapomnieć, a następnie zazdrościła znów jej córce tej życzliwości z jaką przyjął ją w swym domu. Pragnęła gorąco aby Dora poszła za pana Bertram i pojechała z nim do Oxley, nie dla tego aby się spodziewała że ten dawny ich przyjaciel znajdzie w niej dobrą żonę, ale że ją przerażała wzmagająca się ciągle przychylność brata, dla tej, jak ją nazywała, nieznośnej dziewczyny. Obawiała się zawsze aby Teodora nie stanęła na równi z nią w domu brata ale nie przypuszczała nigdy ażeby mogła zająć w nim pierwsze miejsce. Była pewną że jawna jej nieżyczliwość dla Dory, skłoni brata do oddalenia jej od siebie, skoro obecność jej nie będzie mu już potrzebną, i przerażała ją myśl o tem życiu samotnem, pozbawionem tego co najwięcej ceniła na świecie, to jest dumnego zadowolnienia że to ona zarządza domem Ulryka. I to ciężkie strapienie ściągnęła na nią ta dziewczyna, która tak często zamącała jej spokój, wyłamywała się z pod jej władzy; o! teraz ją więcej jeszcze będzie nienawidzić. Jest już w tym wieku że mogłaby być jej matką, a pomimo to będzie zmuszona nietylko ustąpić jej pierwszeństwa, zająć podrzędne miejsce, ale jeszcze tak mówić i postępować jakby ją to cieszyło, a to wszystko dla tego że jej brat był dość nierozsądnym i słabym, aby się zakochać w rumianej buzi z dołeczkami na policzkach. Nigdy nie chciałaby uwierzyć że może uczynić coś podobnego, nawet i teraz jeszcze nie wierzy; i z tą myślą weszła do swego pokoju, położyła się w łóżku i zasnęła płacząc, protestując i pocieszając się nadzieją, że przebudziwszy się jutro przekona się, że był to tylko sen tak przykry.

Niestety! nie doznała takiej pociechy; już sam pośpiech z jakim Ulryk wybiegł na spotkanie Dory kiedy zeszła na śniadanie, byłby ją przekonał jak próżną łudziła się nadzieją, gdyby nawet nie mówił później otwarcie o swych zaręczynach, i o zamiarze udania się po południu do Trampton, dla uwiadomienia sir Lionela i lady Halsted o tak ważnym wypadku. Miss Maryanna, zdobyła się nietylko na uśmiech, ale nawet na jakieś, trochę niezrozumiałe, życzenia, na których jednak brat jej poprzestawał, a za które Teodora ucałowała ją szczerze.

Serce Ulryka Ford biło silnie, kiedy tegoż samego dnia po południu wysiadł z powozu przed pałacem lorda Halsted. Zastał tam dosyć osób, gdyż lady Vivian z dziećmi bawiła w Trampton już od pewnego czasu; Archibald Halsted, ożeniony już od roku, przyjechał także z żoną na kilka dni, a prócz rodziny przybyło tam na czas jakiś jeszcze kilka obcych osób. Jednak wzruszenie jego nie pochodziło że miał mówić o swych zamiarach w obecności tylu osób, ale raczej z obawy usłyszenia jakiejś nie miłej dla siebie uwagi, z powodu że chce zaślubić córkę Cecylji Halsted.

Zastał całe towarzystwo w ogrodzie; ale lord i lady Halsted udali się z nim do biblioteki, skoro tylko oznajmił im że chce z nimi pomówić, tam uwiadomił ich zaraz w jakim celu przyjechał do Trampton. Wuj słuchał go uważnie i w milczeniu, a wujenka, która nie odznaczała się nigdy bystrością umysłu, patrzyła na niego szeroko otwartemi oczyma, wyrażającemi niedowierzanie, tak że biedny Ulryk zmieszał się nie wiedząc co ma z tego wnosić.

— Wiem że zachodzi między nami ogromna różnica wieku, i przedstawiłem sumiennie Teodorze, całą złą stronę, tego związku rzekł biorąc w rękę nożyk do przecinania kart, i obracając go prędko w ręku: ale mam nadzieję że nie zostanę posądzonym o zarozumiałość, skoro powiem że jestem pewnym jej szczerego przywiązania. Co do mnie, całe życie moje nie wystarczy mi na okazanie jej całej siły mojej miłości i wdzięczności.

— Więc chcesz rzeczywiście ożenić się z nią? zapytał sir Lionel.

— Nie zdołam wypowiedzieć jak będę szczęśliwym, jeżeli uzyskam twoje zezwolenie, sir Lionelu.

— Ale, zdawało mi się Ulryku, że ona miała zaślubić pana Bertram, odzwała się lady Halsted.

— Prosiłbym cię bardzo, lady Halsted, abyś nam nie przerywała, gdyż tym sposobem zapominam co chciałem powiedzieć Ulrykowi Ford, zawołał baronet z żywością.

Ulryk chcąc zaspokoić dość naturalną ciekawość wujenki, szepnął jej kilka słów do ucha.

— A więc, doktorze, chcesz ożenić się z naszą wnuczką? z córką tego Fleminga, tego przeklętego bazgracza? odezwał się znów sir Lionel. A czy też pomyślałeś o tem że w jej żyłach krąży gminna krew tego malarza szyldów, że jego nikczemny charakter może się odezwać w twej żonie i w twych dzieciach?

— Nie powiedziałbyś tego, sir Lionelu, gdybyś znał Teodorę; odziedziczyła po rodzicach tylko to co było w nich najlepszego: jest ona żywym obrazem matki, tylko piękniejszym i doskonalszym...

(d. c. n.)



Pl. 449.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.